

Warszawa, dnia 11 (23) Kwietnia 1870 r.

№ 16. Rok VI.

Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. $11\frac{1}{4}$, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. $33\frac{3}{4}$). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

Zwierzchnicy i Podwładni.

Zawsze i wszędzie wśród ludzi, zgromadzonych dla osiągnięcia jakiegoś celu, przewyższającego siły i zdolności pojedynczego człowieka, widzimy, że siły, zdolności i działalność wielu, ulegają woli i kierunkowi jednego. Idzie to nawet tak dalece, że jeśli jaka obca, wyższa wola, nie wyznaczyła im zwierzchnika, wtedy sami sobie dobrowolnie przez wybór lub losem ustanawiają go z mniéj lub więcéj obszerną władzą, któréj ulegać uroczyście się zobowiązują.

Jak rząd każdego kraju jest niezbędnym do utrzymania bezpieczeństwa i dobrego bytu, tak również w każdym zarządzie jakiejkolwiek natury, czy to fabrycznym czy jakim innym, słowem wszędzie, gdzie pewna liczba ludzi wspólną swą pracą usiłuje tworzyć jakąś gałęź bogactwa krajowego, czy to w materjalnym, czy też w moralnym względzie, zaraz być muszą podwładni, którzy siły i zdolności swe fizyczne lub umysłowe ku temu celowi poświęcają, i zwierzchnicy, którzy siłom i zdolnościom tym właściwy kierunek nadają, bez tego bowiem cel wspólnéj pracy osiągniętym byćby nie mógł.


Henryk Carey. (Strona 179).

Jak więc każdy zawód, każde przedsiębierstwo potrzebuje pracowników, tak również bez kierowników ich pracy, to jest bez przełożonych, obejść się nie potrafi.

Prawdziwa oświata ugruntowana na miłości bliźniego, dająca każdemu człowiekowi choćby na najniższém w społeczeństwie stanowisku stojącemu, pojęcie i poczucie osobistéj godności, łagodzi ten stosunek przewagi z jednéj, a zależności z drugiéj strony i nie tylko go znośnym, ale nawet pożądanym czyni. Lecz jakże nam jeszcze do takiego

błogiego stosunku daleko! Zwierzchnicy wyrzekają na złą wiarę, lenistwo i niemoralność podwładnych, ci znów nawzajem skarżą się na nieużyty charakter, dumny a często nawet grubijański sposób postępowania przełożonych, kiedy tymczasem obie strony wieleby miały w sobie do poprawienia, gdyby chciały sumiennie i z rozwagą nad sobą się zastanowić; jeżeli bowiem zwierzchnik grzeszy *pychą*, to znów podwładny wykracza *zawiścią*.

Zwierzchnicy obowiązani są względem podwładnych do *sprawiedliwości* i *grzeczności*.

Podwładni winni są zwierzchnikom *posłuszeństwo* i *uszanowanie*.

Jak często obie strony grzeszą przeciw tym zasadom, dowodzić nie potrzeba; któż choć raz w życiu nie był świadkiem podobnego objawu ujemnéj strony przyrody ludzkiéj?

Tak naprzykład, w zawodzie rolniczym, widzieliśmy nieraz właściciela strofującego obelżywemi wyrazami oficjalistę swego w obec podwładnych mu robotników. Oficjalista może zawinił, zgoda; ale pan zawinił podwójnie: raz, że uchybił w należnéj *grzeczności* dla podwładnego sobie człowieka, drugi raz, czyniąc mu wymówki w obec jego podwładnych, naraził go na pośmiewisko u tych ostatnich, a zatém pozbawił go należnego od nich uszanowania. Dogadzając jedynie chwilowemu swojemu drażliwemu usposobieniu, zamiast poprawić niedbałego sługę, pozbawił się już na zawsze korzyści z jego usług, ponieważ przy utracie poszanowania u podwładnych i posłuszeństwo słabnie i rozporządzenia jego albo wcale nie są, albo z lekceważeniem tylko będą spełniane.

Inny znowu w inny błąd wpada, przez zbytnią miękkość charakteru, dozwalając podwładnym zbytniéj z sobą poufałości, a niesłychanie łatwo w takim razie przekroczyć właściwe granice, zwłaszcza człowiekowi mało oświeconemu, a ztąd niedość rozwiniętemu w moralnym względzie. Wtedy zaś gdzież się podzieje uszanowanie, które każdy podwładny zwierzchnikowi swewu jest winien? Raz wypuściwszy władzę z ręku, już jéj napowrót uchwycić niepodobna i w końcu trzeba ze zwierzchnika stać się podwładnym podwładnego i znosić jego nieraz niedorzeczne wymagania, dopóki nie nastąpi jakaś chwila gwałtownego przesilenia, ze znaczną stratą materjalną i znaczniejszą jeszcze moralną zbyt powolnego zwierzchnika, na którego sumieniu ciężyć będą wybryki podwładnego, gdyż sam przez własne lenistwo i słabość charakteru, stał się ich przyczyną.

W zawodzie fabrycznym, gdzie powodzenie od znajomości rzeczy i energji dyrektora zawisło, gdzie ogromne kapitały w budowlach, machinach, surowych materjałach i przerobach na jego odpowiedzialności leżą, może najrzadziéj takie zboczenia napotykać się dają, gdyż tu dzięki szerokiemu zastosowaniu ekonomicznego podziału pracy, każda jednostka ma ściśle wymierzony zakres swego działania i jest sama niezbędną, chociaż drobną cząstką ogólnéj całości; tu bowiem wartość jéj i stanowisko da się ściśle oznaczyć podług ilości korzystnéj czyli produkcyjnéj pracy, jaką dostarczyć jest w stanie.

Lecz weźmy na uwagę ogromną ilość pracowników, których zajęcie na pozór lekkie, jest przecież jedném z najuciążliwszych, a mimo to najgorzéj wynagradzane. Chcemy tu mówić o takich, którym niedostatek środków pieniężnych lub zdolności, niedozwoliły skończyć nauk tak, aby umysłową pracą, mogli dla siebie wywalczyć niezależne stanowisko w świecie, a brak znów sił fizycznych albo niedorzeczny przesąd, zagrodził drogę do rzemiosła. Chcemy tu mówić o tych, którzy zajmują tak zwane posady stałe płatne. Są wprawdzie pomiędzy nimi tacy, którzy obdarzeni wyższemi zdolnościami i wytrwałością w pracy, uważają zajęcie to swoje za pewien rodzaj terminu, z którego potem przy sprzyjających okolicznościach mogą posunąć się wyżéj; ale niezmierna większość jest takich, którzy przez całe życie z wybladłą twarzą i skurczoną piersią ślęcząc nad papierami, pozostaną tylko kopistami, z małem wynagrodzeniem miesięcznem, z którego tylko nędznie wyżyć mogą. Starają się więc o różne uboczne, chocby mniéj godziwe zarobki, lub natarczywie dopominają się o wcale niezasłużone datki. Lecz gratka taka nie zawsze się trafia, aby na nią jako na przypuszczalne stałe dochody liczyć można było, więc oszczędzić nie ma z czego. Aby przeto zapomnieć o biedzie, każdy taki niespodziany zarobek obracają na hulankę w szynkowniach lub innem jakiem podejrzanem miejscu, gdzie wyszukują sobie źródła nowych zysków, ofiarając się z pomocą klientom w sprawach mniéj czystych, durząc ich obietnicami protekcji i wmawiając im jak wiele mogą i co znaczą. Wpływ takich pokątnych doradców na dobrobyt i moralny charakter warstw mało oświeconych, jest bardzo szkodliwy.

Smutny obraz, ale na nieszczęście aż nadto prawdziwy. Osoby stojące na pewném stanowisku w hierarchji społecznéj widzą skutki, lecz niechcą dojrzéć przyczyny. Z pychą i pogardą odzywają się do tych nieszczęśliwych, nieszczędząc im wszelkich możliwych upokorzeń i wyznać należy, że upadek moralny większéj ich części jest taki, iż podobne postępowanie zwierzchników przyjmują bez oburzenia, jako rzecz zwyczajną i naturalną. Lecz cóż powiemy o zwierzchniku, uważającym każdego takiego podwładnego za jakąś niższą od siebie istotę, a zwłaszcza wtedy, gdy samowolnie ujmuje mu część początkowo umówionego wynagrodzenia; gdy zaś podwładny ośmieli się najpokorniéj poprosić o wyjaśnienie powodu téj *głodowéj* kary, albo nie raczy wcale odpowiedzieć, albo z pogardą da mu do zrozumienia, że takim jak on, zastanawiać się nad czynnościami zwierzchników i domagać się sprawiedliwości nie wolno, i że za to może być uwolniony ze służby. Jeżeli taki wypadek spotka człowieka, w którym uczucie własnéj godności nie wygasło, i któremu nędzne wynagrodzenie, jakie za swą pracę otrzymuje, służy nie tylko na własne ale i rodziny utrzymanie, do jakich więc kroków oburzenie i rozpacz popchnąć go mogą? Trafiają się opłakane wypadki podobnego rodzaju, że przywiedziony do ostateczności nieszczęśliwy pracownik, gwałtownym czynem, sam sobie domierza sprawiedliwość na osobie okrutnego i bez serca zwierzchnika. Gdzież jest sędzia, któryby sumiennie w takim razie nieszczęśliwego przestępcę (bo takim jest niezaprzeczenie), bezwarunkowo potępił? Czyż równa, a nawet surowa kara nie powinna dosięgnąć tego, który nie uznając w człowieku brata, z zimną krwią kęs jego powszedniego chleba mu wydziera, niepomny, że to jest grzechem o pomstę do Nieba wołającym? Może wypadki takie nie są nawet tak rzadkie jak

się nam wydaje, a tylko zaślepienie zwierzchników i ufność w nietykalność swoją z jednéj, a upadek moralny i nawyknienie do smutnego swego położenia z drugiéj strony, pokrywają je zasłoną tajemnicy.

Lecz pochodnia oświaty, rozjaśniająca tajnie dobrze zrozumianego własnego interesu, przenika wszędzie; miejmy więc w Bogu nadzieję, że za jej pomocą nadużycia takie wyjdą na jaw przed sąd prawa i opinji publicznéj, które zmuszą zwierzchnika szanować w podwładnym człowieka, a podwładnego szanować samego siebie i dźwignąć się z moralnego upadku, za czém pójdzie polepszenie bytu materjalnego, postęp moralny i spokój społeczny, tyle wszystkim pożądany i konieczny dla dobra ludzkiego rodu.

Stanisław Rewieński.

CZATY

(BALLADA).

Z ogrodowej altany wojewoda zdyszany
Bieży w zamek z wściekłością i trwogą;
Odchyliwszy zasłony, spojrzał włoże swej żony,
Pojrzał zadrżał, nie znalazł nikogo..

Wzrok opuścił ku ziemi, i rękami drżącemi
Siwe wąsy pokręca i duma.
Wzrok od łoża odwrócił, wtył wylóty zarzucił
I zawołał kozaka Nauma.

Hej kozaku, ty chamie, czemu w sadzie przy bramie
Nie ma nocą ni psa, ni pachołka?
Weź mi torbę borsuczą, i janczarkę hajduczą
I mą strzelbę gwintówkę zdejm z kołka.

Wzięli bronie, wypadli, do ogrodu się wkradli
Kędy szpaler altanę obrasta,
Na darniowem siedzeniu, coś bieleje się w cieniu;
To siedziała w bieliźnie niewiasta.

Jedną ręką swe oczy kryła w puklach warkoczy
I pierś kryła pod rąbek bielizny:
Drugą ręką od łona odpychała ramiona
Klęczącego u kolan męszczyzny.

Ten ściskając kolana, mówił do niéj: ,,kochana!
Więc już wszystko, jam wszystko utracił!
Nawet twoje westchnienia, nawet ręki ściśnienia
Wojewoda już z góry zapłacił.

,,Ja choć z takim zapałem tyle lat cię kochałem,
Będę kochał i jęczał daleki;
On nie kochał, nie jęczał, tylko trzosem zabrzęczał,
Tyś mu wszystko sprzedała na wieki!

,,Co wieczora on będzie, tonąc w puchy łabędzie
Stary łeb na twém łonie kołysał,
I z twych ustek różanych i z twych liców rumianych
Mnie wzbronione słodycze wysysał!

,,Ja na wiernym koniku, przy księżyca promyku,
Biegnę tutaj przez chłody i słoty,
Bym cię witał westchnieniem i pożegnał życzeniem:
Dobréj nocy i długiej pieszczoty!

Ona jeszcze go słucha, on jéj szepcze do ucha,
Nowe skargi czy nowe zaklęcia:
Aż wzruszona, zemdlona, opuściła ramiona,
I schyliła się w jego objęcia.

Wojewoda z kozakiem, przyklęknęli za krzakiem
I dobyli z za pasa naboje,
I odcięli zębami, i przybili stęplami,
Prochu garść i grankulek we dwoje.

Panie! kozak powiada, jakiś bies mię napada
Ja niemogę zastrzelić téj dziewki;
Gdym półkurcze odwodził, zimny dreszcz mię przechodził
I stoczyła się łza do panewki.

,,Ciszéj plemię hajducze, ja cię płakać nauczę,
Masz tu z prochem leszczyńskim sakiewkę,
Podsyp zapał, a żywo sczyść paznogciem krzesiwo,
Potem palnij w twój łeb, lub w tę dziewkę.

,,Wyżéj.. w prawo... pomału, czekaj mego wystrzału,
Pierwéj musi w łeb dostać Pan młody."
Kozak odwiódł, wycelił, nie czekając wystrzelił,
I ugodził w sam łeb wojewody.

Adam Mickiewicz.

Henryk Carey.

Od czasu do czasu zjawiają się w każdéj gałęzi nauk, ludzie którzy stanowią przewrot w utartych już pojęciach téj nauki. Ekonomja polityczna zalicza do swoich prawodawców Adama Smitha, J. B. Saya, Malthusa i Ricarda. Każdy z nich opracował albo cały wykład Ekonomji politycznéj, albo pojedyncze jéj części. Smith i Say zostawili dzieła obejmujące całość nauki, Malthus rozbierał głównie problemat o zaludnieniu, a Ricardo o dochodzie z ziemi czyli o rencie gruntowéj.

Pojęcia ekonomiczne przez tych koryfeuszów wyłożone, nabrały prawie matematycznéj dla wielu pewności, tak, że nowsi autorowie francuzcy, niemieccy i angielscy, z małą różnicą rozwijali i objaśniali gotowe już i sformułowane prawdy.

Dopiero w ostatnich czasach wystąpił na widownię publiczną zdolny pisarz amerykański Henryk Carey, który śmiało powstał na ekonomiczne pojęcia utrzymujące się szczególniéj w szkole angielskiéj. Jak zwykle w podobnych wypadkach bywa, nowator znalazł stronników, osobliwie w Niemczech. Powitano go jako reformatora Ekonomji politycznéj. Nie przyznając takiéj doniosłości twierdzeniom Carey'a, można go jednak zalecić jako oryginalnego, sympatycznego pisarza do czytania tym, co przywykli bezwarunkowo wierzyć utartym wyobrażeniom ekonomicznym, sformułowanym głównie przez pisarzy angielskich.

Carey stanął jak się powiedziało do walki przedewszystkiem z pisarzami angielskimi i uczy wprost przeciwnie. Jeżeli Ricardo twierdził, że dochód z ziemi (renta) wówczas dopiero nastaje, gdy do uprawy przyjdą grunta gorsze; Carey utrzymuje, że przeciwnie grunta lżejsze czyli gorsze, uprawiane są najprzód gdy człowiek ma mniéj środków do uprawy cięższych, lepszych.

Jeżeli Malthus dowodził, że żywność nie pomnaża się w tym stosunku w jakim wzrasta ludność; Carey dowodzi ze pożywienia nigdy nie zabraknie. Jeżeli szkoła angielska wolność handlu uważa za nieodzowny warunek pomyślności ludów; Carey utrzymuje, że opieka czyli ograniczenie handlu zagranicznego, jest nieodzownym ratunkiem przemysłu swojskiego. Jeżeli szkoła angielska uważa handel za gałąź nieodzowną w wytworze bogactw; Carey nie ma słów dość energicznych na potępienie handlu, jako wyzyskującego nabywcę i sprzedawcę. Słowem Carey wykłada swój system może dla zyskania rozgłosu na przekor Anglikom. Dowody jakie przytacza na potwierdzenie swoich mniemań, są wprawdzie olśnie-

wające, ale nie stanowcze. Niechęć do szkoły ekonomicznéj angielskiéj, leży po części w antagonizmie Stanów Zjednoczonych do Anglji, a po części w filozoficznych mniemaniach Carey'a.

Autor ten nie ogranicza się do wykładu czystéj Ekonomji politycznéj, lecz daje razem naukę społeczną, a więc ogarniającą sobą wszelkie objawy działalności ludzkiéj tak ekonomicznéj, jak umysłowo-moralnéj. Różnicę jego w zapatrywaniu się na problemata ekonomiczne trzeba także położyć na karb stosunków amerykańskich, które autor głównie przytacza na potwierdzenie swoich wywodów. I w tém właśnie leży wada jego wywodów. Ekonomja polityczna musi brać w rachubę stosunki każdéj strefy, przymioty każdego ludu, stosunki jakie się wyrobiły. Jeżeli tego zaniecha, lub spostrzeżenia z pewnéj miejscowości rozciągnie na wszystkie, musi się pomylić w rachunku. Tak i spostrzeżenia Carey'a mogą być prawdziwe w Stanach Zjednoczonych lecz nie w Europie. Z tych powodów niesądzimy żeby jego pojęcia mogły wywrócić dotychczasowe zasady ekonomiczne, które mają za sobą dużo powagi i doświadczenia. Niemniéj jednakże Carey ma swoje dodatnie strony. On, o ile wiemy rzucił pierwszy myśl o zgodzie wszystkich ludzkich interesów które jakkolwiek uważane pojedynczo, zdają się walczyć ze sobą, w ostatecznym wypadku zbiegają się ku jednemu celowi, ku szczęściu człowieka na ziemi. Carey odstępuje też od przyjętych wyobrażeń, o monecie, kredycie, bankach, centralizacji i t. p., a odstąpienie to zdaje się mieć za sobą słuszność. Nareszcie Carey w pojęciach swoich o nauce w ogóle, stoi na bardzo obszernéj podstawie na którą się składają, najprzód siły przyrody nieorganicznéj, a potem organicznéj i ludzkie zdolności. Jest to pisarz nie głęboki, ale myśli jasno i zdrowo tam, gdzie go nie owlada uprzedzenie do Anglji i jéj nauki ekonomicznéj.

Carey ma jeszcze i z tego względu pewien interes dla nas, że pan Józef Supiński zbliża się do niego w niektórych pójęciach, mianowicie w pojmowaniu renty gruntowéj i stopniowéj uprawy ziemi najprzód lżejszéj, a potem cięższéj czyli lepszéj.

Słyszeliśmy nadto, że jeden z tutejszych literatów przetłomaczył na język polski większe, trzytomowe dzieło Carey'a, dotyczące ekonomiki i nauki społecznéj. Tłomaczenie podobno się zahaczyło na tomie trzecim, bo mecenas popierający to wydawnictwo zapomniał o niem. Należy się spodziewać, że kiedyś ujrzymy to dzieło amerykańskiego ekonomisty tłomaczone już na języki francuzki i niemiecki.

Fr. Krupiński.



Czaty. (Strona 179). (Kopja obrazu olejnego *Streita* z zeszłoroczném wystawy Lwowskiéj, a nie *Mireckiego* jak ogłosiły **„Kłosy,"** zapewnie przez pomyłkę).

HEBE.

(Legenda Grecka)

Fantazja ludów pierwotnych, uzmysłowiając sobie i podnosząc do znaczenia Bóstw, oddzielne siły natury i oderwane pójęcia umysłu—niemogła pominąć *Młodości*, téj prawdziwéj wieszczki życia. We wszystkich też mistycznych podaniach wieków ubiegłych, spotykamy urojone istoty, albo opiekujące się młodością, albo mające władzę odmładzania — odra-

dzania. Nawet tradycja kościoła chrześcijańskiego upoważniła niebieskich patronów: S. Mikołaja dla dzieci — S. Andrzeja dla dziewic — i S. Katarzynę dla młodzieńców. Najwyraźniéj jednak, typy jestestw opiekuńczych młodości, uwydatniły się w mitologji. Grecko-rzymskiéj i Północno-skandynawskiéj. W Grecji, boginią Młodości, była *Hebe* (u Rzymian Iuventas), wystawiana w postaci młodéj dziewicy, różniącéj się od Gracji (bogini wdzięku) tém tylko, że trzyma w ręku czaszę, z któréj podaje nektar, Bogom Olimpijskim. W Skandynawji, bogini *Idunna*, złotemi jabłkami, odmładza walecznych bojowników Walhali

Pójdźmy za śladem legendy greckiéj o bogini Młodości, a przekonamy się, ile tam szczeréj kryje się prawdy, po za błyszczącym urokiem symbolu.....

Hebe, jest prawą córą, pierwszorzędnéj pary bogów, Jowisza i Junony. Będąc bóstwem wieczystéj młodości, obdziela przy biesiadach, ożywiającym napojem, władców Olimpu. Homer, opiewa ją, jako dziewicę — bo przymiotem młodości, ma być niepokalana czystość, upajająca słodyczą i samych Bogów... Młodość, niepowinna utopić oczu i myśli w ziemi — bo zawcześnie pochwyci ją zmysłowa strona życia i zastudzi na wszystko piękne, wzniosłe i dobre... ale owszém, powinna kształcić się, rozważaniem sfer wyższych pojęć — które legenda symbolizuje, posługą Bogom...

Niemniéj jednak, młodość, nie ma zawisnąć rozmarzona, po za górnym obłokiem — i powinna zstąpić, w szranki ziemskiego życia. Idąc za tą wskazówką, legenda powiada, daléj, że Hebe, podczas jednéjuczty bogów, upadła — i tém obraziła gracje, bogini wdzięku — i przyzwoitość... a następnie, została żoną Herkulesa, bóstwa *siły*.



Hebe. (Strona 180).

Postępowi twórcy greckiego mytu, najwyraźniéj przez to powiedzieć chcieli, że młodość, za długo bezczynna, zejdzie na drogę upadku, i obrazi przyzwoitość społeczną.... Jedynem więc jéj przeznaczeniem, jest rozwinąć i uznać w sobie, *siłę czynu* — co najstosowniéjszém się zdało wykazać, przez ożenienie Herkulesa, boga siły, z Hebe boginią młodości.

Zaprawdę — Młodość, jest jedyną chwilą, w któréj możemy wzmódz i rozwinąć siły nasze fizyczne imoralne. Długo w młodści, mamy obowiązek, tylko względem samych siebie — i niemal zawsze, mniejszą lub wiekszą pomoc rodziców, opiekunów, lub społeczeństwa. Z latami, nabieramy sami obowiązków względem innych — czas więc ten, powinien zastać nas gotowymi, do prawidłowéj pracy życia. Biblijna legenda o synu marnotrawnym, czułym ojcu, po latach spędzonych w obłędzie — coraz rzadziéj się sprawdza — bo coraz inne, trudniejsze warunki znachodzą się w życiu. Lepiéj zapewne, jeżeli syn marnotrawny społeczeństwa, wróci na drogę prawdy i pracy, ale niech spodziewa się lepiéj być przyjętym do tych, liczby którzy nieschodząc na manowce, nie zmarnowali sił młodości, a rozwinęli je odpowiednio do potrzeb chwili....

Pomnąc na tę prawdę, wpatrzcie się młodzi bracia! w klassyczny ideał młodości Hebe, co długo przysługując biesiadom Bogów, złączyła losy swoje z uosobieniem siły człowieczéj Herkulesem... I nie sądźcie, żeby były przesadą te słowa wieszcze:

Dzieckiem w kolebce, kto łeb urwie hydrze,
Młodzieńcem zdusi centaury—
Ten piekłu ofiary wydrze,
Do nieba sięgnie po laury!

Jan Prusinowski.

ECHO ŻYCIA SPOŁECZNEGO.

II.

* * *

Możemy sobie oddać tę sprawiedliwość, że o nas pamiętają jednakże — kuglarze.

Krasicki kiedyś powiedział wprawdzie, że dosyć to się często zdarza, iż bywa kuglarz nad kuglarza; ale był jakiś czas, że ci panowie nie zaglądali do nas. Czy dla tego że nas sądzili wtedy być rozumniejszymi niż dzisiaj? czy dla tego że wydawaliśmy się im biedniejszymi, lub umiejącymi lepiéj niż teraz grosza używać?

Jeszcze sława pcheł i małp uczonych nie zewszystkiém przebrzmiała, jeszcześmy nie ochłonęli z lubych wrażeń sprawionych nam przez kuglarza Persa i kuglarza Francuza; aliści ondyna źródeł reńskich, nadobna Flora, dozwala siebie admirować—i Straus połykacz szpad i bagnetów każe siebie podziwiać!

Czyż by im się zdawało, że mamy więcéj pieniędzy, niż oleju w głowach i dobrego gustu?

* * *

Nie zaprzeczamy jednakże temu, że widok człowieka bezkarnie połykającego takie specjały jak szpady i bagnety, jest nauczający; bo jest on poniekąd rzuceniem rękawicy śmierci.

Jest wspaniałém natrząsaniem się z jéj wielmożności, gdyż bądź co bądź szpady i bagnety, nigdy nie słynęły jako przysmaki zbyt soczyste, zbyt kruche, i zbyt strawne. Nawet gorszą nierównie mają reputację niż bedłki trujące.

Połykacz tych niestrawnych przysmaków, przekonywa i naucza dowodnie: że gardziel ludzka jest w pewnéj mierze istną przepaścią, zdolną pochłaniać nie tylko cześć, majątki, byt rodzin a nawet losy społeczeństw; ale i narzędzia zagłady rodu ludzkiego.

* * *

Widok nimfy nadreńskiéj ma także swą stronę nauczającą, nie tylko dla klassy przyrodoznawców, z powołania: ale i dla pospolitych śmiertelników.

Piękna i szeroka panna Flora, przekonywała bowiem o téj, dotąd u nas niedość rozpowszechnionéj prawdzie, że skóra ludzka w danych razach, może się daleko lepiéj rozciągać, niż paryzkie rękawiczki.

* * *

A mamy i jasnowidzącą! ta znowu każe sobie drogo płacić.

Zjawiska magnetyzmu zwierzęcego są ciekawe dla ludzi, ze stanowiska nauki na nie się zapatrujących.

Ale prostaczkom zdaje się wcale co innego. Sądzą oni że jasnowidząca może nie tylko w przeszłości naszéj ale i przyszłości czytać, dać nam wiadomość co porabia w danéj chwili osoba ukochana a oddalona, i poradzić lekarstwo na chorobę wszelką.

Ponieważ każdy najlepiéj zna swą przeszłość, przeto nie ma racji o niéj się dowiadywać, i to za pieniądze, tém bardziéj że są przeszłości, któremi chwalić się nie wypada. Przepowiednia przyszłości potrzebuje się ziścić, żeby miała wagę jakąkolwiek, a nim sprawdzić ją będzie można, prorokini z naszymi rubelkami, będzie już za górami, za lasami. Tak samo i wiadomość o osobie oddalonéj.

Przepowiednie powinnyby być płatnemi z dołu, to jest po ziszczeniu się, jako rzecz nadzwyczaj wątpliwa dopóki się nie sprawdzą.

Żeby zaś leki doradzane przez jasnowidzące były tak skutecznemi, to byśmy mogli sobie żartować z chorób i podczas największéj cholery i czumy, gwizdać sobie pod nosem ulubione aryjki.

Czyż już ludzkość jest tak ograniczoną, że niechwyciła by się tego środka ratowania zdrowia, skoroby on był tak niezawodny?

* * *

Więc tedy dowiadujemy się z łaski miłosiernego Allacha, że dwóch sławnych Straussów jest na świecie i ryzykant i muzykant. Bardzo dobrze.

Kto z boską pomocą dożyje z nas, zobaczy i posłucha i muzykanta.

Jego walce mają mir u nas, a więc i osoba mile będzie widzianą.

Walc jako taniec, ma także u nas niepoślednie powodzenie.

Taniec ten, jak ktoś dowodził, z tego tytułu mianowicie jest znakomitym, że uczy młodziutkie panienki *zastanowienia.*

Bo czyż panienka, która pierwszy raz w życiu na zabawie do syta natańczyła się walca, wróciwszy do domu, nie zastanawia się nad tém, że chociaż tata i mama wyraźnie dali jéj poznać, iż objęcia mężczyzny są rzeczą nieskromną i dobremi obyczajami wzbronioną w życiu domowém; przecież okazuje się, że nie są rzeczą tak dalece naganną, skoro na balu uchodzą?

Ale panienka zapomina o tém, że w życiu domowém jest osóbką, a na balu tancerką, gdy i mężczyzna jest tam tylko tancerzem—rozumie się w chwili pląsania.

Gdy ta chwila minie, objęcia jego znowu są rzeczą nieskromną i wzbronioną.

Źle jest bardzo, gdy panienka zacznie wzdychać, żałując że całe życie nie jest ciągiem walczyka pod muzykę Straussa wywijanego!

To też nie jednéj takie myśli, tak zawrócą główkę, że upadnie, by już więcéj nie podnieść się, nieboga!

* * *

Co do panów lekarzy, to publika względem nich miewa dziwne pretensje.

Naprzykład, nikt z nas przecież nie podejrzywa żadnego z panów Eskulapów, żeby nie pragnął uratować swego pacjenta, żeby nie starał się o ile mu wiedza i rozum pozwalają, o powrócenie mu zdrowia.

Bardzo dobrze. A dla czegóż to ludzie tak narzekają na doktorów, jeżeli im się kuracja nie uda?

Ot naprzykład w mieście prowincjonalném dziecko choruje na krup, Eskulap wié że za pomocą operacji można uleczyć z téj choroby. Wprawdzie operacji téj nie dokonywał nigdy, ależ trzeba raz zacząć przecież, a lepiéj późno jak nigdy. A więc bierze brzytwę, i płata gardło. Żeby pociągnął oględniéj, dziecko możeby z upływu krwi nie umarło, a umarło by z krupu; rodzice zaś nie mieliby racji wrzeszczeć że dziecko im zarznął.

Niby to tak łatwo nawet dla lekarza z powołania przerznąć komu brzytwą gardło, a niepozbawić go życia. Trzeba dużo nazarzynać ludzi, zanim ręka stanie się lekką, jeżeli *nb.* kto swą rękę na żywych subjektach wprawiać zapragnie.

* * *

Zagadnienie 1-sze. Co ma począć ojciec jeżeli mu córka oświadczy, że nauczyciel literatury, uczennicom swym, na lekcji w klassie zalecił przeczytanie bezecnego jakiego utworu, noszącego tytuł ten lub ów, nie przymierzając wcale np. Izabella?

Czy odebrać córkę z zakładu w którym nauczyciel gorszy systematycznie dorastające uczennice, a pana nauczyciela do odpowiedzialności przed Władzę właściwą pro bono publico, pociągnąć?

Czy zamknąwszy oczy na przyszłość córki i zniewagę sobie jako ojcu przez niesumiennego pedagoga wyrządzoną, dozwolić dziewczynie czytać zaleconą książkę i kontynuować nauki w owym zakładzie, pod światłym kierunkiem owego ochmistrza?

Uwaga. Zarzucicie nam że podobny wypadek nie mógł miéć miejsca? zgoda na to. Ale że przypadki po ludziach chodzą, więc na wszelką ewentualność prosimy o rozwiązanie zagadnienia.

Zagadnienie 2-gie. Jeżeli ktoś mało ma wolnego czasu do swego rozporządzenia, potrzebuje się widzieć z Redaktorem téj a téj publikacji, Redaktor zaś w ciągu dnia w nieoznaczonéj porze zjawia się na parę sekund w biurze Redakcji, a nad drzwiami swego mieszkania wywiesił napis „O wy wszyscy, którzy pragniecie ze mną mówić w interesach publikacji przezemnie kierowanéj, nie przekraczajcie progów moich, ale porozumiewajcie się ze mną w biurze redakcji,'' i jeżeli ten ktoś nie może spolować tam wielkiego Lamę owéj lamazerji, to co ma począć żeby go ujrzeć i pomówić z nim w swym interesie?

* * *

Na zapytanie nauczyciela: co to jest półwysep? dziecko po chwili namysłu odpowiedziało: że jest to wyspa na pół przekrojona.

Dziecko więc wykryło, że nazwa półwysep, jest nielogiczną.

Lud wiejski w niektórych okolicach ma swe własne nazwy na odmalowanie topograficznych szczegółów okolicy. I tak, wyspę nazywają *ostrowem,* jest to dawna nazwa w naszym języku używana. Półwysep *grądem.* To co nazywamy w jeografji międzymorzem, lud zowie *przejmią.* Ciaśninę, *szyją*, i t. d.

Wiele jest nazw malowniczych w języku ludu. Naprzykład wyraz cudzoziemski komfort, doskonale tłumaczy wiejski *rozkurt.* Kto jest kontent ze swego mieszkania, komu w niem przytulnie i dogodnie nie potrzebuje się kurczyć, owszem rozkurcza się z zadowolnienia, i ma rozkurt, to jest wygodę z przyjemnością połączoną.

Ołowianka czyli sonda do mierzenia głębokości wód, u ludu nazywa się *grzęzło*, bo grzęznie w wodę aż na dno.

Pędy wyrastające z korzeni drzewa jakiego, nazywa lud *odmłodzie*, bo się stare drzewo przez nie odmładza.

Przez jakąś niedorzeczną arystokrację literacką, nasi autorowie wzięli oddawna zupełny rozbrat z językiem ludu, a przez to pozbawili język książkowy ogromnych skarbów mówniczych, z których w innych krajach pisarze umiejętnie

korzystając, wzbogacili i wzbogacają nowemi coraz a szacownemi zdobyczami lingwistycznemi literaturę swą ojczystą.

* * *

W mowie potocznéj ludzi klassy średniéj, jest wiele wyrażeń kursujących, znaczenie których domyślne znane jest każdemu, ale przechodzenie częstokroć zagadkowe, zakrój zaś nie jednokrotnie pełen charakteru.

Oto jest treść rozmowy w tym guście, słyszanéj przez nas niedawno.

— Złoto, srebro i drogie kamienie widziałem—wszelki duch pana Boga chwali!

— Kopę lat, kopę lat!

— Żyjesz więc?

— Bokami robię!

— No i jakże?

— Uszy do góry, choć dusza na ramieniu.

— Z którychże stron teraz?

— Od piskorzy.

— Gospodarujesz?

— Klepię biedę.

— A cóż tam w nowych stronach teraz? Andrzéj żyje?

— Ziemię gryzie od dawna.

— A Paweł?

— Także na księżą gródź patrzy.

— A Jan?

— Parę miesięcy temu nogi wyciągnął.

— Słyszałem że Ignacy szumnie żyje?

— Ostatnie podrygi.

— No, a owa piękność słynna — cudowna panna Jadwiga?

— Rutkę sieje.

— A jéj adorator, ów majętny gładysz jakże go tam? pan Alfred?

— W piętkę goni.

— A jego braciszek Alfonsek?

— Bakę świeci stryjaszkowi, który obiecał mu coś tam zapisać.

— A Izydor?

— Tadeusza śpiewa!

— Tam do licha, obiecywał porządnego człowieka.

— Przemądrzył.

— A jego brat Leon?

— Ampułę czyści, brzytewkami się bawi, cholewki smali do ciepłych wdówek, patrzy z którego komina się kurzy i zagiął parol na jedną szyk—dziewczynę, mającą sporo baranków.

— A cóż, może trafiła na swego?

— Rzepa chłopu, nie zegarek.

— No, trzymaj się ciepło.

— Pisuj na Berdyczew.

* * *

Obecnie w Paryżu pracują uczeni nad uproszczeniem pisowni francuzkiéj, dość jak wiadomo zawikłanéj, a przynajmniéj drobiazgowéj. Słusznie też postawiono wnioski dążące do usunięcia takowéj drobiazgowości i innych szczegółów z dzisiejszemi pojęciami i postępem lingwistyki mniéj zgodnych.

Powinszować i zazdrościć tym panom ich dążności. Porozumiewają się, naradzają się, rozwiązują wnioski w tym przedmiocie nadesłane z Beligji, Szwajcarji i Londynu.

U nas za to co pismo, to inna ortografja. Jedno z nich np. rozmiłowało się w głosce *y*, i przyozdabia nią końcówki wyrazów, aczkolwiek nikt z piszących współczesnych nie naśladuje go w téj mierze, ani przykładu nie daje.

Drugie zaś lubiące *smażyć* koncepta, słowo to pisze przez *rz*, ztąd też koncepta te wyglądają jakby były *usmar-żone* gdzieś na Franciszkańskiéj lub Nowowiniarskiéj ulicy.

W powieściach, w znaczeniu *zbliżać* się do kogoś lub czego, często panowie autorowie używają słowa *podejśc* — a słowo to oznacza w naszym języku, oszukać kogoś pozorem prawdy, ztąd też pochodzi podejście.

Niedawno kupiec jakiś wydrukował anons, że taki a taki towar *postąpił* do handlu. Kupiec ów *postąpił sobie* źle, wyrażając się w ten sposób, a towar nie mając nóg nie postąpił, ale nadesłany został do handlu.

Najwyraźniéj tedy panowie pisarze, czy z powołania czy z trafunku *puszczają w trąbę* naszą mowę, a to od czasu, jak nauczono się u nas owego trębackiego wyrażenia.

* * *

Ale i panowie bibliopole nie zasypiają gruszek w popiele, i wstecznym pędem dążą do zaspokojenia interesów... własnych.

Jeden z nich w krótkim bardzo czasie, nie tylko zdobył się na wydanie swym nakładem Barbary Ubryk i Jzabelli, pomnikowych utworów sui generis— ale w tych dniach wypuścił na świat nową edycję Rynaldyniego.

To już nie dwa, ale trzy grzyby w barszczu.

Podziękujmy też mu za łaskawą pamięć.

W dawnych edycjach Rynaldyniego była następująca zwrotka.

,,O jak szczęśliwy ten człowiek,
Który ma czyste sumienie,
Żadnéj zbrodni przypomnienie
Snu jego nie spędza z powiek.'' i t. d.

Szkoda że nie tylko zwrotkę tę ale i całą arję do któréj należała, w téj nowéj edycji, téj budującéj książeczki opuszczono. Chociaż po téj stracie, zwolenników tego arcydzieła może poniekąd pocieszyć arja w téj edycji powtórzona, ze strofą szczytnie się zaczynającą:

,,Dzielny Rynaldo pierzchać nie umie,
Choć się sam został, jeszcze naciera.''

Skoro już nam publikacje tak dobrze idą, i zanosi się na długi ich szereg, bo przecież i Turczyn wojażujący, i o Aladynie czyli lampa cudowna; i okropny Abelino czyli zbójca w Wenecji, i Pustelnik z czarnego grobowca; i wiele innych podobnych arcydzieł zapewne doczeka się nowéj edycji; czyby nie godziło się dać tytuł téj miluchnéj kolekcji: Biblioteczka, dla zbudowania i rozrywki młodego pokolenia?

Bo naiwni gotowiby bez tego jeszcze pomyśleć, że to jest jaka biblioteczka kryminalna? dla użytku jurystów studjujących brudy i zbrodnie ludzkie dla dobra nauki.

* * *

Mówiąc o takich rzeczach, możemy tu przytoczyć wzmiankę napotkaną w jednem z pism zagranicznych o nowym a oryginalnym rodzaju oszustwa, niedawno odkrytym w Paryżu. Jakiś młody i przystojny facet wyszukiwał suberetki stęsknione do stanu małżeńskiego, a napastowane zębem czasu— oświadczał się im i grając rolę narzeczonego, wyłudziwszy od nich wszystkie pieniądze i cenniejsze przedmioty, opuszczał je, pod pozorem wykrytéj niewierności.

Słyszeliśmy o kimś, co tutaj u nas bawi się w sposób podobny, ma on siedm pierścionków ofiarowanych mu w zakład strzelistych afektów przez siedm panienek. Otóż kolejno obchodząc co tydzień swe bogdanki, by spożywać dary boże w domach ich rodziców, wkłada na palec co dzień inny, stosowny do okoliczności pierścionek.

Pokazuje się że pieczeniarzy i innych pasożytów nigdzie nie brak.

A ztąd nauka wypływa, że trzeba być bardzo, bardzo oględną w dawaniu pierścionków; bo wymówka że ktoś przemocą lub podstępem pierścionek skonfiskował, nie służy.

Bo któż z porządnych osób może być zniewolonym do znoszenia w swym domu przywłaszczycieli cudzéj własności?

W takich razach żartów nie ma.

* * *

—Otóż będziemy się *włóczyć* tego roku po grobach, żeby tylko pogoda dopisała! mówił jeden gładysz do gładysza drugiego.

Włóczyć się po grobach?! co za wyrażenie? co za zajęcie? co za ludzie?!

A rzeczywiście, iluż to takich ludzi w Warszawie.

Któż z nas nie widział téj czeredy, téj zgrai, téj hordy Huronów, wkraczających w progi świątyni z hałasem, szastaniem się, śmiechami, konceptami, i mizdrzeniem się fatalnie bezecnemi?

Czy przypominacie sobie w roku zeszłym w jednym kościele, jak ktoś z osób kwestujących czytał kurjera, drugi z tego grona pił wodę sodową, trzeci we francuzkiéj mowie a chychotaniem swojskiem, porozumiewał się z istotą, która najświeższe nowiny z miasta mu kommunikowała.

A tu w około szmer i chychotanie publiki, ścisk, tłoczenie się, przymówki, kłótnie, przypływ i odpływ wędrowców.

A tu zadumana starożytna świątynia, sklepienia swe uroczyste, trzyma nad temi falami głów ludzkich wysoko, i echami powtarza duchom przeszłości niesłychane ongi te szmery.

Powiecie: zwyczaj?

Czyż nieprzystojne zachowanie się w świątyni, może się usprawiedliwiać zwyczajem?

Przecież w Azji nawet świątynie szanować umieją.

Zwyczaj? i któż go tu zaprowadził, i kiedy, i po co? i na co?

Jakże niechrześcijanie mają naszą religję i nas samych szanować, gdy my ją i siebie samych poniewieramy?

Bo czegóż zresztą ta nieprzystojność dowodzi?

Przecież nie dowodzi ani mądrości, ani rozumu, ani dowcipu, ani wychowania, ani ukształcenia a tem bardziéj obyczajów zasad i wyższości żadnéj.

Włóczyć się po grobach!

Śliczności.

Jakie to matki wychodowały tych pątników tegoczesnych?

Powinszować im, o powinszować, powinszować!

Winszujemy!

Aleksander Osipowicz.

HUMORESKA.



(Dłużnik i Wierzyciel).

WIERZYCIEL: Kiedyż oddasz dług Piotrze? Trzeci rok czekam cierpliwie. Czy masz nareszcie sumienie!

DŁUŻNIK. Sumienie bo i mam, ale pieniędzy ani grosza.

PIECZA OKOŁO KONAJĄCEGO.

Spotykając jako stary lekarz, wiele w życiu mojém wypadków, gdzie nieraz trzeba było wystąpić śmiało, oprzeć się energicznie, przyjąć raczej na siebie zarzut surowości, aniżeli dopuścić aby konający przez niestosowne obchodzenie się otaczających, boleśnie niewątpliwie oddziaływające na niego, miał ostatnie swe chwile życia zakłócone i zbolałe, uważam sobie za obowiązek podzielić się z czytelnikami moimi w tym przedmiocie myślami. W wypadkach nieuniknionych, gdy nie podobna chorego utrzymać przy życiu, jedynem zadaniem tak lekarza jako i otaczająch, jest, aby chwila skonania była jak najlżejszą, i najpodobniejszą do uśnienia. Wszystkie więc starania ku temu celowi skierować należy.

Przedewszystkiem wypada unikać nieproszonéj pomocy, nie zgrabnéj usługi, czynów wynikających z zabobonów (jak naprzykład wyciągania poduszki z pod głowy, nakrywania twarzy), płaczu i narzekań pozostałych krewnych w pobliżu umierającego, wreszcie należy odsunąć natrętne usługi takich ludzi, których czynność mogłaby dogorywającego nabawić niepokoju, trwogi lub boleści. W takich razach wypada tylko pozostawić najbliższych krewnych (mianowicie żonę, dzieci i t. d.); chociaż częstokroć i wtedy stosowniejszym jest obcy pieczołowity, oddający się z powołania pielęgnowaniu chorych, tacy bowiem spokojniejsi, tem samem bywają przytomniejsi, doświadczensi, silniejsi i zręczniejsi, a zatém posiadają, przymioty, dla których można na nich polegać, pewnym będąc że obowiązku na się przyjętego należycie dopełnią. W tych bolesnych chwilach niezbędną jest największa spokojność. Wszelki zgiełk i łoskot, światło jaskrawe, wszelką woń nieprzyjemną (a zatem i budzenie) troskliwie ustronić wypada. Natomiast trzeba się starać o świeże powietrze, które najlepiéj utrzymywać przez odpowiednie przewietrzanie pokoju. Posłanie powinno być zastosowane do dogorywających sił umierającego, a zatem głowa i klatka piersiowa niechaj leżą wysoko, i pamiętając o tem, że podnoszenie chorego, gdy się obsunie, ulgę mu przynosi. Trzeba mu podpierać ramiona, i w ostatnich chwilach ująć dłoń jego przez milującą go i miłowaną od niego osobę. Pożytecznem jest również ogrzewanie stygnących członków, częste ocieranie potu śmiertelnego, wiewanie koło niego wachlarzem, obmywanie mu skroni twarzy i rąk wodą octem lub wódką kolońską. Jeżeli umierający jeszcze może połykać, a pragnie jakiego posiłku, wtedy można mu podać pokarm i napój, byleby one nie były mu wyraźnie szkodliwe. Jednakże nie czekając nawet dopóki czego zażąda, można go kiedy niekiedy napawać. Najlepszym wtedy posiłkiem bywa świeża woda (czasem z winem), limonada, lub napar z ziółek przyjemnych. Wszelako napój w takich okolicznościach nie daje się inaczéj, jak tylko po łyżeczce lub po łyżce stołowéj. Jeżeli konający nie może już łykać (w którym to razie zachłyśnienie nową sprawia mu mękę), to trzeba mu przynajmniéj zwilżać usta i język, oczyszczać gębę i nozdrza z zaschłego i zeskorupiałego śluzu. Właściwie medycyna nie zna leków odpowiednich dla konających, zwłaszcza że umierający okazują dość często i wyraźnie wstręt do wszelkich mixtur, wybór atoli środków mogących niejako sprzyjać téj smutnéj chwili życia naszego, należy do uznania i wskazania lekarza. Najmocniéj ganię używanie środków drażniących skórę, gorczyczników, które konającego ocucają dla tego jedynie aby go nowym dotknąć bólem. Enemy, moczenie nóg i kąpiele zakłócają mu tylko spokój, który właśnie powinniśmy zapewnić i utrzymać. Opieka umysłowa nad umierającym jest nader ważną w téj bolesnéj i przerażającéj chwili. Ta zaś należy mu się od lekarza, ponieważ on jest główną jego podporą i pociechą, dopóki jeszcze zachowuje przytomność. Lekarz przeto czuwać powinien nad gasnącym, ażeby krzepił jego zaufanie i obudzał w nim nadzieję, bo gdy już ta ottatnia opuści nieszczęśliwego, on zwykle bywa najsposobniéjszym do odebrania ostatnich jego zleceń i zeznań. W razie przecież gdy lekarz nie może być ciągle obecnym przy konającym, wybrać należy do tego ostatniego aktu miłości chrześcijańskiéj jednę lub więcéj osób czułych, roztropnych, przedewszystkiem umierającemu miłych, któreby umiały postępowanie swoje do jego osobistych przymiotów zastosować.

Dr. Aleksander Przystański.

☛ Patrz Dodatek.

Dodatek do Nru 16go Opiekuna Domowego 1870 r.

O WIĘZIENIACH i WIĘŹNIACH.

Nie sięgając w daleką przeszłość, zastanówmy się nad więzieniami, czem były w początku wieku bieżącego, czem są obecnie u większéj części narodów cywilizowanych i jakiemi być muszą, aby się z domów kary stały zarazem domami poprawy. Państwo Austryacko-Węgierskie jest krajem, który przez wielostronne stosunki swoje z Hiszpanją, Włochami i Francją przejął się cywilizacją romańską. Jako państwo przewodniczące niegdyś w Niemczech, wyobrażało ono niedawno zlanie się na gruncie słowiańskim cywilizacji romańskiéj z niemiecką. Pomimo tych darów i chociaż arcykatolicka w zasadach swoich Austrja, przedstawiała jednak przed 40 laty w rzeczy więzień wzór niedbalstwa i lekceważenia godności ludzkiéj. Więzienia jéj były w onym czasie miejscem zepsucia zdrowia i charakteru, siedzibą brudu i wyższą szkołą występku. Niedostatek światła, przez zabudowanie okien koszami z desek i niedbałość w przewietrzaniu, sprzyjały mnożeniu się robactwa i częstemu panowaniu skorbutu w więzieniach. W roku 1831 zwiedzałem jako kilkunastoletni chłopiec, pewien ogród i zamek w Galicji przerobiony na więzienie. Znając ówczesne dymne chaty włościan galicyjskich, w których cała rodzina żyła wspólnie w jednéj izbie z bydłem, trzodą i drobiem, nie miałem pojęć bardzo wymagających o mieszkaniu zbrodniarzy. Smród, roje robactwa, szczęk kajdan i chorobliwa cera więźniów, zrobiły jednak na mnie bardzo trwałe a niemiłe wrażenie. Ufny w sprawiedliwość kary, nabrałem przekonania, że zbrodniarz jest niegodzien litości i nie ma do niéj prawa. Najróżniejszych zbrodniarzy umieszczano razem z posądzonymi o mniejsze przestępstwa, bez względu na wiek, stopień ukształcenia i zepsucia. Wyjątki robiono tylko dla wyższéj szlachty, i księży. Ci ostatni byli zupełnie wolni od więzień cywilnych, a zbrodniarze z wyższéj szlachty byli wolni od kar cielesnych, któremi przyjmowano innych do więzienia i wyprawiano z niego. Hrabia P.......k, ktory pokutował w rzeczonem więzieniu za liczne zbrodnie swoje, miał osobną usługę, kapelana swego, był wolny od robót i dostawał dostateczne pożywienie, kiedy dawanego innym więźniom, nie można było nazwać strawą. Dowodem stopnia poprawy i posłuszeństwa więźniów było ich zbuntowanie się w czasie cholery. Wyłamali kraty w nocy, zrzucili kajdany, zabili jednego dozorcę i chcieli więzienie spalić i miasto zrabować. Gdyby nie szybka i bardzo energiczna pomoc miejscowego wojska, byliby zamiar swój najzupełniéj wykonali.

Jako przykład, co znaczy zajęcie się więźniami osób światłych i z gruntu duszy zacnych, opowiem com słyszał przed 20-stu laty z ust Wincentego Pola. — Jeden z jego przyjaciół posądzony o udział w pojedynku, przebył dziewięć miesięcy w więzieniu we Lwowie, w towarzystwie z początku dwóch oszustów i trzech złodziei, czyli pięciu zbrodniarzy, zamkniętych z nim nieustannie w jednéj izbie, a późniéj w towarzystwie jednego z nich, stanowiącego przedmiot tego opowiadania. W tem więzieniu nabył pierwszy zaród teraźniejszego kalectwa swego, bo wkrótce po wyjściu z więzienia przestał widzieć na jedno oko. Tu jednakże nawrócił powyższego towarzysza więzienia, włościanina, który 40 lat praktykował rzemiosło złodziejskie. Śpiewając wieczór psalmy Dawida, oduczyłby bez trudności towarzyszy swoich od kończenia dnia niedorzeczną rozmową. Dwaj żydzi, ujęci jego znajomością starożytnych dziejów swego narodu, poszanowali jego modlitwę. Za ich przykładem poszło dwóch młodych złodziei, włościańskiego pochodzenia i katolickiego wyznania. Piątym towarzyszem był 57 letni włościanin, po czwarty raz mieszkaniec więzienia, naczelnik złodziei. Początkiem jego grzesznego życia była zemsta za plagi, otrzymane niesłusznie z rozkazu pana, u którego służył za chłopca do koni wierzchowych. Rozżalony niesłuszną karą, poszedł do karczmy i zapijał zmartwienie swoje. Dwóch obcych włościan, wypytawszy się go o przyczynę smutku, doradzili mu zemścić się oddaniem im na wspólną własność konia, który mu się najlepiéj ze stajni jego pana podobał. Usłuchał ich téj saméj nocy i rozpoczął na najmilszym sobie koniu nową karjerę swoją. Celując z początku odwagą więcéj niżeli zdolnością, dostał się w kilka miesięcy do więzienia. W niem odebrał wstępny wpis bolesny na nocnego rycerza, poznał biegłych nauczycieli występku i nowych kolegów rzemiosła. Po dwóch latach pobytu w więzieniu wyszedł z niego obeznany z organizacją złodziejską, zadziwiającą ładem swoim, zarówno jak udziałem w niéj, lub protekcją osób, najmniéj o to podejrzanych i obowiązanych zapobiegać występkom i zbrodniom. Odtąd awansował szybko i doszedł w kilkanaście lat i przez dwukrotny następny areszt do stopnia naczelnika wielkiéj spółki złodziei. Promienie jéj koła ciągnęły się na 20 mil i więcéj. Zaniechanie swego rzemiosła, trudnego z postępem wieku i upadkiem sił, nie przyszło mu na myśl. Potępiony i wzgardzony od wszystkich uczciwych, wysoko natomiast ceniony przez występnych, nie mógł zrozumieć człowieka, który i cierpieniu nie złorzeczył. Przeciwnie jemu, chociaż najwinniejszemu, dawał największe dowody przebaczenia. Zdumiony i rozczulony zacnością reformatora swych pojęć, przerwał jednego razu naukę jego rzewnym płaczem i wyznaniem postanowienia, że wypowie przed sądem wszystkie zbrodnie swoje, dla zjednania sobie w więzieniu dożywotnéj pokuty. Prawo kazało inaczéj. W kilka miesięcy wyszedł z więzienia i pozostał do śmierci gorliwym reformatorem dawnych podwładnych swoich. Żadne ich groźby i rzeczywiste prześladowania nie wstrzymały go od nawracania ich i przeszkadzania im w występku. W tym przypadku nie gatunek więzienia, ale zacne chęci nawróciły człowieka pogrążonego 40 lat w zbrodni. Więzienia odosobnione i grobowa cisza w nich może być wielką pomocą w poprawie więźnia, ale pierwszym warunkiem poprawy przez więzienie, jest uczciwe przejęcie się celem więzienia wszystkich osób, stykających się z więźniami. Dopóki ogół nie dojdzie do przekonania, że każdy członek społeczeństwa jest takim, jakim go czyni jego własny organizm, wychowanie, okoliczności i społeczność, w któréj żyje, dotąd więzienia pozostaną raczéj zemstą niżeli poprawą.

Ulubionem lekarstwem społecznem wieku przeszłego były kary cielesne i pacierze; niemi usiłowano wszystkiego dokazać w szkole, w wojsku i w więzieniu. W wieku bieżącym walczyć wypada z przesądem, iż odosobnienie i milczenie są podstawą więzień i jedynym środkiem poprawy przestępcy. Więzienie jest szpitalem moralnym. Przestępca powinien z niego wyjść wyleczony z kalectwa duszy i tak moralnie zasilony, żeby za lada wpływem nie popadł w recydywę. Jak żadna część pokarmów sama przez się, bez połączenia z drugiemi nie karmi, tak samo odosobnienie, przymusowe milczenie, sama praca lub sama religja w znaczeniu pacierzy nie poprawiają nikogo. Poprawia poznanie swéj winy, poczucie godności swojéj i nieodłącznych od niéj obowiązków i nabycie wprawy w ich pełnieniu. Przestępca wyszły z więzienia, powinien doznać o tyle zapomnienia swéj winy, o ile poszanowanie w nim godności ludzkiéj potrzebne mu jest do staranności jego o odzyskanie swéj godności obywatelskiéj. Człowiek odepchnięty i wzgardzony przez społeczeństwo, musi, jeżeli nie jest świętym, stać się podłym.

Pierwsza myśl teraźniejszych więzień wyszła od Kwakrów, sekty chrześcjańskiéj, bardzo rozpowszechnionéj w narodzie angielskim, w Anglji zatem i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj. Zostawić człowieka w samotności na pastwę zgryzot swego sumienia, jest podług nich najdzielniejszym środkiem poprawy i moralnego podniesienia. Zasada ta jest z gruntu mylną i zawodzi często. Np. Indjanie, którym szerzenie się Jankiesów głodem i zagładą zagraża, mszczą się na białych. Indjanin zamknięty w celi samotnéj za to, że oskalpował trzech Jankiesów, uczuwa tylko pragnienie dalszéj zemsty i gniotącą go niewolę, ale bynajmniéj żalu popełnionéj zbrodni.— Włościanin Polski dokąd odrabiał pańszczyznę, nie miał sobie za grzech nakraść drzewa w pańskim lesie. Uwięziony za to, nie nabył jeszcze przez samo więzienie przekonania, że postępowanie jego było złem. On widział tylko dwa nieszczęścia: pierwszém było wykrycie kradzieży, a drugiem niemożność ucieczki z więzienia. W sumieniu uważał się zupełnie wolnym i czystym, miał się za męczennika, ale nie za przestępcę.

Pod przewodnictwem powyższéj myśli kwakierskiéj, powstały w Ameryce pierwsze więzienia celkowe, gdzie każdy skazany doznaje odosobnienia ciągłego lub przerywanego pracą wspólną z innemi więźniami, podczas któréj milczeć ma i musi. Więzienia amerykańskie były w początku wieku bieżącego dwojakie. Jedne z nich nazwane zostały filadelfijskiemi, drugie auburgskiemi.

Więzienie filadelfijskiego sposobu jest budynkiem jedno lub dwu piętrowym, z bardzo wysokiemi ścianami. Na rogach jego znajdują się wieże czyli strażnice. Budynek więzienny składa się z 6 do 8 skrzydeł, które ze środkiem budynku łączą się kurytarzami otwartemi od góry do dołu. Każdy kurytarz jest na piętrze i na dole zaopatrzony w jednę galerję po lewéj, w drugą po prawéj stronie. Wzdłuż galerji ciągną się cele 18 do 19 stóp długie 7 do 8 stóp szerokie, i 15 do 16 stóp wysokie. Rozmiary te są potrzebne do zapewnienia więźniowi dostatecznéj ilości powietrza przy zamkniętéj celi. Przy dobrem przewietrzaniu, może być cela dużo niższą i przez to mniéj kosztowną. Każda cela ma jedne drzwi żelazne, a drugie drewniane, i w nich otwory któremi dozorca może każdéj chwili widzieć postępowanie więźnia. Cały budynek jest z góry oświetlony i ma okna w dachu.

Przestępca przybyły do zakładu filadelfijskiego zostaje wykąpany, zrewidowany, pozbawiony pieniędzy i wszystkiego co mu do pokuty nie jest potrzebne. Przybrawszy ubranie więzienne, zostaje z zawiązanemi oczami zaprowadzony do sali centralnéj. Tu obznajmia go przełożony więzienia z przepisami którym się ma poddać. Następnie przeprowadzają go do przeznaczonéj mu celi,— zdejmują mu zasłonę z oczu i zostawiają go dotąd bez książki i jakiegokolwiek zajęcia, dokąd sam pracy nie zażąda. Skoro objawi pragnienie pracy, otrzymuje zajęcie w celi na korzyść zakładu i bez nadziei materjalnéj w tém korzyści. Wszelkie zetknięcie się przestępcy ze światem zewnętrznym, kończy się z zamknięciem celi. Przestępca widzi tylko na spacerze po podwórzu więzienia towarzyszy swoich, ubranych w maski i milczących pod karą głodu, celi ciemnéj, odmówienia książek i pracy. Jedynym głosem który przestępca słyszy są słowa kapelana, który co niedziela przemawia do więźniów, słuchających go przy pół otwartéj celi, i nauczyciela moralności, który przynajmniéj raz w miesiąc każdego więźnia odwiedza. W całym zakładzie panuje grobowa cisza, z wyjątkiem chwil w których więzienie ożywia się dźwiękami narzędzi pracujących więźniów. Dozorcy chodzą w obuwiu sukienném, koła wozów wjeżdżających w podwórza budynku są skórą pokryte, aby nie sprawiały turkotu. Pożywienie jest obfite i składa się dziennie z jednego funta mięsa wołowego z warzywem lub z $^3/_4$ funta mięsa wieprzowego, trzech funtów chleba i $^1/_{10}$ kwarty innéj strawy. Czystość celi i całego więzienia jest wzorowa. Jedyną nagrodą dobrego prowadzenia się więźnia jest pochwała dyrektora, jedyną przyjemnością praca i czytanie w chwilach wolnych. Nazwanie przyjemnością spaceru na podwórzu między czterema nagiemi murami i wśród milczących i zamaskowanych towarzyszy, jest niedorzecznością. Prawdziwą ulgą dla więźnia może być tylko praca i czytanie w chwilach od nich wolnych. Dwanaście do 13 godzin w jednéj dobie pracy wymagającéj raz tych drugi raz innych sił, niedziela i dowolna ilość godzin do czytania pozostająca w dniach powszednich od pracy, oto są przyjemności których się żadnemu więźniowi odmówić nie powinno. Jeżeli nie umie czytać, powinien być zmuszony do nabycia téj wiadomości, aby bez niéj nie wyszedł z więzienia.

Celem więzień auburskich czyli drugiego rodzaju amerykańskich, jest odstraszenie od zbrodni, a zmuszenie do pracy powracającéj państwu ile możności koszta kary. Zasada z któréj wyszli twórcy tego sposobu jest brzydką i mylną. Czynność bowiem nie jest żadną karą, a praca żadnym postrachem, dokąd nie ciągnie za sobą kalectwa, uszczerbku zdrowia lub poniżenia. Przykładem pracy poniżającéj jest używany w Anglji z początkiem tego wieku deptak, i niedawno we Francji i w Hiszpanji zniesione przykucie więźni do galarów.

Sposób auburski został w całéj pełni swojéj najprzód w r. 1825 w Sing-Sing, pod Nowym-Yorkiem zaprowadzony. Więźnie pracują w nich we

wspólnych warsztatach przy surowo nakazaném i przestrzeganém milczeniu. Resztę dnia i noc przebywają w celach odosobnionych. Nietylko każde przemówienie ale każdy znak, spojrzenie lub uśmiech więzionego, może być przez dozorcę plagami karane. Dozorca ma obowiązek śledzić każdy ruch więźnia i ma prawo karać go według swego zachcenia kijem lub batem za każde słowo, mignienie lub spojrzenie. W postępowaniu tém jest dozorca wolny od kontroli. Sposób ten mógł się wylęgnąć tylko w umysłach Purytanów, zdziczałych pośród Indjan amerykańskich. Wpływ Indjan na Inkiesów jest niezaprzeczalny i łatwy do wytłómaczenia. Przybysz zwycięzca czy zwyciężony, przyjmuje powoli od miejscowych o tyle ich pojęcia i zwyczaje, o ile one stały się u nich narodowemi stałemi i wkorzenionemi. Krajowcy przyjmują od osiadłych między niemi obcych zwycięzców lub zwyciężonych, to co jest ruchome i dla krajowców miłe, tém więcéj jeżeli jest dla nich zarazem pożyteczne; odrzucają natomiast uporczywie, choćby najlepsze, wszystko co jest niezgodne z panującym ich sposobem życia. Jankies przejął od Indjanina jego zabobony, zemstę, gwałtowność, skłonność do włóczenia się i zimną krew w nieszczęściu. Indjanin nauczył się od Jankiesa używania broni palnéj, pasterstwa i smakowania w napojach upajających, ale nie został rolnikiem, kupcem albo mieszczaninem.

Skutkiem auburskich więzień jest zniechęcenie ukaranego niem do pracy i życia, oburzenie, spodlenie i hypokryzja, czyli udawanie pokory przy wewnętrznem pragnieniu zemsty. Z drugiéj strony wyradza sposób auburski w dyrektorze i dozorcach, bo wyradzać musi w nich jeżeli są ludźmi poczciwymi, najsprzeczniejszą z tym sposobem łagodność i nadmierne ułaskawienia więźniów. W r. 1856 ułaskawiono w New-Yorku przeszło 12 więźniów na 100.

Wadą więzień wspólnych jest niemożność poprawy. Występny nie może występnego uczyć poprawy. Niedorzeczne rozmowy dla brawowania przed swymi towarzyszami są nieuniknione. Dla osłodzenia sobie niewoli opowiadają jedni więźnie drugim przygody i powodzenia swoje, zaprzyjaźniają się, uczą się wzajemnie, tworzą nowe pomysły, obznajmiają się z językiem złodziejskim i wyrabiają się na złoczyńców daleko gorszych niż byli. Co dla mniéj zepsutych i oświeconych przestępców jest hańbą i ciężką karą, to dla gorszych i nieoświeconych może być zupełnie obojętne.— Takie równanie i gromadzenie więźniów jest niesprawiedliwością rażącą. Wspólność pracy i sypialni jest wówczas dopiero na swojém miejscu, gdy więzień daje nieustanne dowody swojéj poprawy. Wprowadzony między nawróconych, nabywa ambicji, która jest wielką podnietą cnoty.

Zalety odosobnienia przestępcy w celi więziennéj są liczne. Na czele stoi dokładne zbadanie stopnia winy i oszczędzenie winnemu niepotrzebnéj hańby. Śledcze więzienie nie powinno być w żadnym przypadku wspólne. Odmówienie książek i zatrudnienia w więzieniu śledczem, jest niesprawiedliwością niczem nieuzasadnioną. Zaletą celi i milczenia osób otaczających przestępcę w więzieniu karnem, jest zmuszenie go do zastanawiania się nad sobą. Zastanowienie to jest możebne i pożyteczne, jeżeli więzień jest dostatecznie oświecony, pojmuje godność ludzką i moralność. W przeciwnym razie należy mu się opieka i oświata w tym względzie przez kapelana więzienia, nauczyciela moralności lub światłych członków towarzystw, zajmujących się oświecaniem więźniów.

Drugą zaletą odosobnienia więźnia jest łatwość badania jego charakteru i skłonności i uczynienia go wrażliwym na napomnienia i nauki osób pragnących jego poprawy. Dopuszczanie do przestępcy osób moralnych a jemu najbliższych, przekonywa go że nie jest opuszczonym, owszem doznaje poważnéj życzliwości, aby w niéj czerpał zasiłek do swojéj poprawy, [1]) On ma nabrać odwagi, że nie jest straconym i choćby na całe życie był skazanym, może przez rychłą szczerą i gruntowną poprawę swoją, przebłagać obrażone społeczeństwo, uczuć swój los bardzo znośnym i karę swoją skrócić i złagodzić. Odosobnienie powinno trwać, dokąd więzień nie zasłużył sobie na powierzenie pracy wspólnéj z małą liczbą więźni wypróbowanych pod względem swojéj poprawy. Bezskuteczne odosobnienie przez 6 do 9 miesięcy jest dowodem chorobliwego stanu umysłu więźnia, albo co gorsza, niedbałości otaczających go osób. Z tego powodu żadna kontrola nie jest tak potrzebną jak ta całego dozoru więziennego i staranne dochodzenie przyczyny, gdy więzień odosobniony w ciągu 6 do 9 miesięcy, nie okazał się dosyć poprawionym do zasłużenia sobie na przypuszczenie go do wspólnéj pracy.

Nieustannie wzorowe zachowanie się przynajmniéj rok przy pracy, powinno uprawniać więźnia do przeniesienia go na próbę do wspólnéj izby jadalnéj i do wolności rozmawiania na spacerze i w chwilach wolnych od pracy.

Gorliwe pracowanie, bezinteresowne i z własnéj woli, jest jednym z dowodów poprawy więźnia. Dla tego żadna praca w któréj on jest biegłym, nie powinna mu być zabronioną podczas jego odosobnienia, z wyjątkiem takich, których z więzieniem jako miejscem poprawy pogodzić nie można. Do takich zajęć bywa muzyka liczoną.— W więzieniu nie może być za pracę uważaną.— Charakterem pracy jest rozmyślny pożytek dla działającego i dla społeczeństwa w którym on żyje. Społeczeństwem więzienia są inni więźnie. Muzyka może być dla niektórych szkodliwą rozrywką, a dla żadnego nie może być pożyteczną. Więzień jednak dla którego muzyka była jego zawodem zarobkowym, nie powinien tracić wprawy w swym sposobie zarobkowym, jeżeli jéj nie musi tracić dla dobra więzienia. W takim wyjątkowym przypadku powinno być wolno i powinno być możebne więźniowi granie w chwilach wolnych od pracy.

Przeszedłszy w krótkości naturę nowoczesnych więzień, rzucimy okiem na stan więzień w różnych krajach zagranicznych. Na czele stoi Szwajcarja. Więzienia jéj są bardzo złagodzonym sposobem auburgskim. Pierwszy miesiąc, a w potrzebie pierwsze trzy miesiące, doznaje więzień zupełnego odosobnienia w celi, dla poznania go i wypróbowania. Więzień skazany na jeden tylko rok więzienia, przebywa cały ten rok w odosobnieniu i milcze-

1) Nawiedzanie więźniów jest obowiązkiem chrześcijańskim, wzbraniane zatém być nie powinno.

(P. R.)

niu. Wszyscy więźnie są wolni od kar cielesnych i jakichkolwiek srogości. Wspólność pracy jest przyjętą u więźniów zasługujących na tę ulgę i część zarobku z swéj pracy, otrzymuje przestępca przy wyjściu z więzienia. Z wypuszczonych z więzienia nie popada napowrót w zbrodnię więcéj nad 14 na 100. Ludność szwajcarska bierze wielki udział w poprawie więźniów, szczególniéj przez dobre usposobienie dla uwolnionych.

Z krajów włoskich mają lepsze więzienia Piemont i Toskanja. Więzienia w okręgu papiezkim czyli rzymskim należą do zaniedbanych i nieodpowiadających swemu celowi. Więzienia hiszpańskie i portugalskie są staroświeckie i gorsze jeszcze od rzymskich. — W Portugalji mieszczą się wspólnie dłużnicy, zbójcy i złodzieje. Więzienia są brudne, ciasne, i żywienie więźniów uboższych niegodziwe.

W Niemczech i w krajach Austryjacko-Węgierskich nie ma już nigdzie niedbałych więzień starożytnych. Szczególnie dobremi są więzienia Badeńskie. Przestępcy pracują z początku odosobnieni w celach, późniéj jeżeli na to zasłużyli, wspólnie w salach roboczych i wśród milczenia. Kara cielesna jest wykluczoną. Praca trwa cały dzień z wyjątkiem pół godziny przed i tyleż po obiedzie przeznaczonych na przechadzkę w oddzielnych podwórkach. Przestępcy wychodzą z więzienia oświeceni, wyuczeni w pracy i nieosłabieni na siłach. Do wzorowych więzień należy pruskie *Rauhes Haus* w Moabicie.

Francuzkie więzienia nie doznały jeszcze tego ulepszenia, jakiego doznać by powinny, przy wielokrotnem i gorliwem zajmowaniu się wielu znakomitych mężów francuzkich kwestją reform, potrzebnych w więzieniach ich ojczyzny. Anglja natomiast, która przed 40 laty miała jeszcze ohydne więzienia, może się obecnie najlepszemi pochwalić.

J. B. Rogojski.

Wiadomości Techniczne.

— **Produkcja żelaza w Szkocji w r. 1869.** Produkcja żelaza w Szkocji, wielkie ma znaczenie na europejskich targach. W ciągu roku 1868 stanowczo się poprawiła i zabliźniła rany zadane jéj przez kryzys w r. 1866. Przyczyną powiększenia się produkcji jest wzrost zapotrzebowań i wywozu za granicę, który w r. 1867 wynosił 427,355, zaś w r. 1868 przeszło 363,396 tonnów, (ton — 1000 kilogramów — 25 centnarów). Do Niemiec i Austrji sprowadzono Szkockiego żelaza w roku 1867 przeszło 97,567 tonnów, a w roku 1868 około 82,688. W roku 1869 do samego portu w Tryeście przywieziono 17,669 tonnów, a w r. 1868 tylko 11,121. Wywóz do Hollandji, Belgji, Włoch, Polski, Rossji i Stanów Zjednoczonych podniósł się znakomicie, zmniejszył się zaś do Francji, Hiszpanji i niektórych zaeuropejskich krajów.

— **Bielenie kolorowych piór i włosienia.** Mówimy tu o bieleniu piór brunatnych, popielatych, lub pstrych z natury swojéj, tudzież włosów czerwonych z natury i niefarbowanych, a mających być wybielone, aby pozostały białemi, lub otrzymały zafarbowanie w żądanym kolorze. Postępowanie bielenia jest następujące: Pióra lub włosy moczy się przez 3 do 4 godzin w *słabym* rozczynie wodnym dwuchromianu potasowego. (Sól czerwona, krystaliczna, dobrze znana wszystkim farbiarzom). Przed zanurzeniem przedmiotu, wlewa się małą ilość *bezbarwnego*, niedymiącego kwasu saletrzanego. Kwas żółty od zawartéj w niem rudéj pary pociąga za sobą żółknienie piór lub włosienia. Dlatego lepiéj za mało niżeli za wiele użyć kwasu saletrzanego. To samo tyczy się dwuchromianu; lepiéj użyć za nadto słabego niżeli nadto mocnego rozczynu téj soli. Łatwo powtórzyć bielenie, kiedy przeciwnie piór zżółkłych od żółtego lub dymiącego kwasu saletrzanego bez wielkich trudności naprawić nie można. Po upływie trzech do czterech godzin przybierają pióra kolor zielonkowaty. Przyczyną tego jest zielony tlenek chromu, który powstał i osiadł na przedmiocie bielonym. Przedmiot taki umieszczony w wodnym rozczynie gazu siarkowego, albo siarkanu sodowego traci nabyty kolor zielonkowaty i potrzebuje tylko, po wyjęciu z siarkonowéj kąpieli, być dobrze wymytym, aby pozostał białym. Po wymyciu może być dowolnie zafarbowany. (*Moniteur de la teinture.*)

— **Zaprawa stolarska czyli bajca do politury.** W wodzie rozpuszczone równe części dwuchromianu potasowego i kwasu szczawiowego dają zaprawę, która im jest mocniejsza, tem ciemniejszem czyni drewno. Skoro burzenie się rozczynu i wywięzywanie się gazu ustało, zaprawa jest gotową i może być zaraz użytą, albo do późniejszego użycia przechowaną. Jeżeli jednokrotne pomazanie daje odcień zanadto słaby, powtarza się mazanie drugi i trzeci raz. Do wygładzenia zaprawionego drewna, lepiéj jest użyć delikatnego papieru szmirglowego niżeli pomeksu, bo flader występuje równiéj pod papierem szmirglowym niżeli pod pomeksem. (*Würtembergisches Gewerbeblatt.*)

— **Walka Owadów.** Wiadomo jest, jak wielkiemi duchowemi zdolnościami obdarzone są osy. Darwin daje nam tego nowy jeszcze dowód, opisując śmiertelną walkę między osą (Pepsis) i *wielkim pająkiem* (Lycosa), którą na własne oczy widział w Brazylii. Osa napadła nagle na swą zdobycz i następnie odleciała. Pająk natychmiast został zranionym, gdyż chcąc odejść, stoczył się na dół, ale miał dość jeszcze siły ukryć się w trawie. Osa wkrótce powróciła i zdawała się być zdziwioną, nie znalazłszy swojéj ofiary. Zaraz tedy rozpoczęłą polowanie jak pies za lisem, robiła w locie pół obroty i wydawała szybkie brzmienia w ciągu tego czasu swojemi skrzydłami i czułkami. Pająk lubo się dobrze schował, został natychmiast odkryty, a osa zapewne z obawy przed gardłem swojego przeciwnika, po licznych manewrach zadała mu jeszcze dwa pchnięcia. W końcu swojemi czułkami przekonywała się czyli jéj przeciwnik nieruchomy jeszcze żyje i próbowała swoją zdobycz uprowadzić i do gniazda zanieść, które lepi w przedsionkach domow dla swoich poczwarek, a zabitymi pająkami i gąsienicami wypycha. — Osa znała oczywiście broń i niebezpieczeństwo swego przeciwnika. Tu więc skierowała swoje pociski. Wiedziała również co są wartemi jéj broń i trucizna i w jakim czasie sprawiają skutek i dla tego po zadaniu pająkowi ciosu, odleciała. Ale miała także wysoko rozwinięty zmysł poznania miejscowości, ażeby swoją zdobycz napowrót odszukać. Najwyższą jednak działalność ducha rozwinęła w wyszukaniu ukrytego pająka. Do tego musiała posiadać: zmysł miejscowości czyli lokalności, znajomość sposobu życia swego przeciwnika, cierpliwość, przezorność, przymioty które wszystkie razem wzięte jéj duchowemu stanowisku, — zaszczyt przynoszą.

— **Tania instrukcja i korespondencja.** W niemieckich pismach większéj wziętości, dostrzega się własnoimienne doniesienia przyjaciołom o śmierci, urodzinach i ślubach zaszłych w swojéj rodzinie. Pod obranym sobie znakiem zapytują się czytelnicy i zasięgają rady Redakcji w sprawach, które przypuścić można, że jéj są dobrze znane. Otwarta korespondencja przez czasopismo z czytelnikami jego praktykuje się u nas tak mało jak w pismach francu-

zkich, chociaż jest dla Redakcji i czytelników bardzo dogodną.

ROZMAITOŚCI.

— **Teatr. M. D.** *Safanduły, komedja w 4-ch aktach Wiktoryna Sardou z francuzkiego tłómaczona.* Na prowincji z daleka od cywilizowanego i postępowego Paryża, w starożytnym zamku z dziada, pradziada zamieszkałym przez jedną szlachecką rodzinę—w tym samym zamku w chwili zaczęcia się komedji, spotykamy potomków téj arystokratycznéj rodziny: księcia de la Rochepèans (p. Grzywiński), 80-letniego starca, margrabiego de la Rochepèans (p. Żółkowski), syna księcia. Rozalję de Forbac (p. Micińska), kuzynka obydwóch, Fromental'a (p. Ostrowski), także spokrewnionego, Urbana (p. Szymanowski), syna Fromental'a, Leonidasa Vauclin (p. Rapacki), domowego doktora i bardzo zażyłego przyjaciela, nareszcie de Valcreuse (p. Sawicki), prowincjonalnego wierszokletę, który nawiasem powiedziawszy, nie jest żadną organiczną częścią komedji.

Treść komedji, z któréj dzisiaj piszemy sprawozdanie, odegranéj w d. 30 Marca r. b. na scenie Teatru Wielkiego, nie da się ująć w karby krótkiéj opowieści, bo autor francuzki, z prostéj, bardzo zwyczajnéj, powiemy nawet spowszedniałéj fabuli, natworzył tak wiele i tak długich sytuacji, tyle tam powklejał, że się tak wyrazimy, obrazków scenicznych, że piszącemu sprawozdanie, nie łatwo postępować za główną osnową sztuki. Co prawda, obrazki te niektóre, są wyborne—jest w nich spryt, dowcip, życie, ale niemniéj i to jest prawdą, że w końcu nużyć zaczynają i wpływają na osłabienie saméj komedji. Książę (pan Grzywiński) miał kiedyś córkę, która wbrew woli ojcowskiéj, potargawszy względy familijno-arystokratyczne, wyszła za mąż za biednego, ale światłego człowieka, z którym pokryjomu uciekła z rodzicielskiego domu. Z tego małżeństwa urodziła się córka Małgorzata (p. Modrzejewska), która wkrótce została sierotą, utrzymującą się ze szczupłéj pensji, dawanéj przez margrabiego, nie chcącego z całą swoją rodziną nic więcéj dla Małgorzaty uczynić. W takim stanie rzeczy, przychodzi do zamku notarjusz Barillon (p. Piasecki), który tak daleko umiał wpłynąć swoją wymową na margrabiego, że ten zezwala na przyjazd Małgorzaty i na stałe pomiędzy nimi zamieszkanie. Jakoż prawie w téj chwili Małgorzata przyjeżdża z Paryża, pomimo przeszłości, przyjęta z otwartem sercem, nawet przez starego niedołężnego księcia. Małgorzata wnosi do domu tych *safandułów* życie, ruch—jednem słowem ożywia wszystko i wszystkich. Gdy się to dzieje, dowiaduje się Małgorzata, że inżenier Marcelli Cavallier (p. Tatarkiewicz), którego poznała i pokochała jeszcze w Paryżu, bawi w miasteczku. Cavalier przyjechał rzeczywiście wysłany od towarzystwa nowobudującéj się kolei, dla zbadania i zdjęcia planów z miejscowości, przez które ma koléj przechodzić. W tym więc celu, zajmuje się swoją pracą i na łące widzianéj przez okna zamku, rysuje swoje inżenierskie plany. Małgorzata, o któréj Cavallier nic nie wiedział i którą znał z Paryża, ale się jeszcze w niej nie kochał, obserwuje go ciągle na téj łące, a że przypadkiem i inżenier chodzić musiał pod okna pokoju Małgorzaty—nic więc dziwnego, że stara panna, dewotka, Rozalja, skłonna do plotek i obgadywania, donosi o tem wszystkiem margrabiemu, jako o romansie pomiędzy Małgorzatą a Cavallier'em. Margrabia naradza się ze swoimi przyjaciołmi, jak złemu zaradzić. Wszyscy postanawiają rozmówić się z intruzem i obsaczają go tak, że inżenier rad nie rad, nie mogąc innéj drogi znaleść, zmuszony jest przejść przez pokoje zamku. Tu spotyka się z Małgorzatą i kiedy ta chce go przedstawić wujowi, na rozkaz surowy tegoż, opuszcza pokój. Margrabia i jego przyjaciele dowiadują się od inżeniera, że zdejmował plany, o niczem nie wiedział, i że właśnie linja kolei żelaznéj tak wypada, iż dom Margrabiego na dwoje będzie przecięty. Margrabia, jakby piorunem rażony, postanawia nie pozwolić na to i w tym celu wyjeżdża do Paryża. Tymczasem Małgorzata, pod niebytność Margrabiego, z powodu miłości do inżeniera zachorowywa, tak niebezpiecznie, że doktór obawia się o życie. Wraca nareszcie z Paryża Margrabia uzyskał pozwolenie zmiany linji kolei, a przytem taki wpływ wywarł na niego Paryż, że nietylko się przebrał inaczéj, ale i w przekonaniach swoich odmłodniał. Choroba Małgorzaty tkwiąca w duszy, a nie w ciele, nie da się inaczéj uleczyć, jak pozwolić jéj poślubić inżeniera, którego téż wkrótce przyzywają, chcąc wrzekomo zaspokoić chęci Małgorzaty. Doktór jednak Vauclin (p. Rapacki), człowiek postępowy—zwalcza przeszkody, a dotknąwszy nawet najskrytszego uczucia Margrabiego, bo tajemnie ukrywanéj chęci poślubienia Małgorzaty przez tegoż Margrabiego—przyprowadza małżeństwo dwojga młodych ludzi do skutku, tak dalece, że nawet stary książę zezwala. Tak więc postęp i oświata, odnoszą zwycięztwo.

Główną zaletą téj komedji, jest wystawienie kilku bardzo mocno narysowanych charakterów, streszczających w sobie ogólny charakter pewnéj części społeczeństwa, ludzi, tak zacofanych i nieprzyjaciół wszelkiego postępu, że im się zdaje, iż świat się starzeje, a nie oni. To też każdy charakter pojedynczo wzięty, jest rzeczywiście skończony pod każdym względem, ale pod względem artystycznéj całości i harmonji, mielibyśmy nie jedno do zarzucenia, z braku jednak miejsca, zaledwie możemy powiedzieć to, że p. Sardou tak się w Safandułach ugania bez ustanku za efektami, tyle stwarza niepotrzebnych, a czasem i bezbarwnych sytuacji, że przy końcu komedja, bardzo słabnąć zaczyna, tembardziéj, że z powodu, różnych nienależących do komedji dodatków, akty są zadługie i nużą.

Parę figur występujących w komedji, tak niezwiązane są działaniem swojem z tokiem całéj sztuki, że dziwić się przychodzi, jak taki talent komedjopisarski jak pana Sardou, nie umiał poszukać harmonijno—artystycznego cementu. Wprawdzie figury te same przez się są komiczne, ale cóż za związek ma z całą sztuką np. taki Valcreuse, wierszokleta, który pokazuje się w drugiéj scenie, aby wygłosić parę deklamacyjnych frazesów, nie mających z niczem związku i znika zupełnie; a nawet i taki Urban, syn Fromental'a, chociaż dobrze illustruje charakter *safanduły*, co własnego dziecka wychować nie umie, jednak byłoby nierównie lepiéj, gdyby Urban, prócz téj illustracji, był wpleciony akcją w całość intrygi. Gra artystów nie przedstawiała nic do życzenia, a wdzięczna rola Małgorzaty, naiwnéj i silnie kochającéj dziewczyny, była oddana przez p. Modrzejewską z prawdziwem natchnieniem artystycznem.

Oprócz pp. Żółkowskiego i Rapackiego, możemy tu zaznaczyć wyborną grę p. Ostrowskiego i który wysokim komizmem, jaki umiał wlać w swoje role, wywoływał burze oklasków i śmiechu. Inni artyści należycie wywiązali się z ról swoich, a p. Tatarkiewicz miał wzniosłe momenty.

— **Nowe dzieła (T).** Jeszcze słówko o kobiecie. Warszawa Dr. Czerwińskiego 1870 8-ro 32 str. (Cena kop. 10). Jest to rozdział dodatkowy do wielce dowcipnie i z talentem napisanego dzieła francuzkiego, wydanego w Paryżu pod tytułem: La Somatologie de la femme. P. Romana Bierzyńskiego.

Czy autor jest nieprzyjacielem kobiet, kiedy tak gorąco występuje przeciwko emancypacji? Bynajmniéj, ale jest przekonania, że emancypując się z pozornych więzów, wiele tracą a nic nie zyskują, że rola kobiety w świecie jest taką, jaką ją natura kobiety mieć chciała. Życzymy przeczytać urywek tego rozdziału: aby się zapoznać z pisarzem,

który wśród naszych starych znajomych świeżą i szczególną zajmuje fizjognomję. Naprzykład:

„Człowiek, jako typ rodzaju składa się z dwóch istot: z mężczyzny i kobiety.... Człowiek jest wyższem zwierzęciem dla tego, że w walkach na które jest narażony w swojem istnieniu, posługuje się organizacją drażliwszą chociaż słabszą, a przeto wolny jest obejmować ogół zjawisk zewnętrznych, wśród których żyje, przywłaszczać sobie ich wypadki i nadużywać swych popędów, o co zwierząt pomawiać nie można.”

„Wstępując w szereg innych wyobrażeń, pytamy co i czy można ustanawiać wyższość wodorodu nad kwasorodem w składzie tego co się nazywa wodą?”

......Prawo jest szklanką wody, a jak w niéj jest kwasoród i wodoród, tak i w prawie jest mężczyzna i kobieta razem. Oboje przyczyniają się do jego utworu.

Somatologja kobiety, jest w swym rodzaju jedynem u nas pismem.

— **Prelekcje publiczne.** (**M. D.**) Dzisiejsze sprawozdanie niniejszéj rubryki, rozpoczynamy nie od *prelekcji*, lecz od *lekcji*, które w zakładzie nauki, sztuk i rękodzieł p. Wandy Schmidt, otwarte zostały, jako zakreślony kurs nauk w dniu 26 Marca b. r. Zakład ten, jak wiadomo, przeznaczony jest wyłącznie dla kobiet; z wykładanego więc kursu nauk przez różnych professorów i specjalistów, korzystać mają prawo tylko kobiety, za pewnem wynagrodzeniem. Za wyjątkiem Redaktorów, lub delegowanych z Redakcji członków, innym mężczyznom uczęszczać na te kursa, nie wolno. Pojmują, Szanowni Czytelnicy, że z takich *lekcji* zdawać szczegółowe sprawozdania, jest rzeczą niemożebną, bo w takim razie przechodziło by to zakres pisma; co innego, bowiem, jest sprawozdanie z pewnych publicznych prelekcji, a co innego z pewnego kursu nauk temwięcéj, że uważamy ten kurs nauk, w zakładzie pani Szmitd, jako szkołę. Notujemy więc fakt otwarcia tego kursu nauk, dla kobiet, jako fakt bardzo ważny w naszem społecznem życiu, z nadmienieniem, że będziemy pilnie śledzić za postępem i rozwojem szkoły i jeżeli coś znajdziemy godniejszego uwagi, a tembardziéj, jeżeli się dopatrzymy jakiéj niewłaściwości, czy w samym kursie nauk, czy w sposobie wykładu, pewnego przedmiotu, nie omieszkamy, na tem samem miejscu, podzielić się z naszymi czytelnikami, zwracając przytem uwagę samego zakładu. Tak więc dziś ograniczyć się winniśmy na tem, że sama właścicielka zakładu p. Schmitd, otworzyła kurs nauk przemową, zawiadamiając, że do programu wybrane zostały przedmioty: pedagogiczne, przyrodnicze, ekonomiczne i estetyczne, a temsamem czyniące zadość głębszemu i wyższemu wykształceniu kobiety. Późniéj prof. Jurkiewicz odczytał wstęp do nauk przyrodzonych, a w następnéj lekcji przystąpi do kursu mineralogji; następnie p. Milicer, magister nauk przyrodzonych rozpoczął wykład chemji, posiłkując się praktycznemi doświadczeniami. Na drugi dzień odbyły się dwie lekcje, mianowicie: p. Dziewulskiego, z fizyki, i prof. Kotkowskiego, z jeografji.

Lekcje są bardzo licznie uczęszczane.

P. Węclewski, w Resursie Obywatelskiéj w dalszym ciągu o sztuce dramatycznéj greckiéj, miał czwarty z kolei odczyt, poświęcony rozbieraniu charakterów kobiecych w trajedjach: Eschylesa, Sofoklesa i Eurypidesa. Pierwszeństwo w tym razie, przyznał prelegent Sofoklesowi. Przytem, p. Węclewski, opierając się na charakterach kobiet, spotykanych w trajedjach greckich i na innych jeszcze danych, przyszedł do tego wniosku: że stanowisko kobiety w starożytnéj Grecji, nie było tak upośledzone, jak to niektórzy utrzymują, przeciwnie kobieta odgrywała tam bardzo ważną rolę pod względem społecznym, a nawet politycznym.

W Sali Towarzystwa Dobroczynności w dalszym ciągu odbyły się następujące odczyty: P. Czyński, magister prawa i administracji, mówił: „O źródle przestępstwa” (z psychologji kryminalnéj). Wykład ten odznaczał się nadzwyczajnym haosem i bezładem, gdzie niegdzie przeświecały rzeczywiście wyższe poglądy dość oryginalne, ale niknęło to w plątaninie przeróżnych pojęć.

P. Sulimierski, Redaktor „Wędrowca” miał prelekcję: „O trzęsieniach ziemi.” Najprzód zastanowił się prelegent nad wyobrażeniami o budowie ziemi, jakie panowały dawniéj i dziś. Wrażenie wywoływane przez trzęsienie ziemi jest silne tak na zwierzętach, jak i na ludziach, do tego stopnia, że mieszkańcy stron, które często bywają nawiedzane przez trzęsienie, mają jakieś szczególne pojęcia i o atmosferze i o ziemi, w skutek czego pełni są przesądów ontologicznych, jakich mieszkańcy spokojnego gruntu, nie mają. Trzęsienie ziemi więcéj daleko sprawia spustoszenia w gmachach wielkich, aniżeli w małych, sklepionych, a jeżeli trzęsienie ziemi napotka podziemne pieczary, albo piwnice, to wtedy zmniejsza się widocznie. W skutek trzęsienia ziemi, tworzą się szczeliny—rozpadliny i najczęściéj słychać ogromny huk. Co zaś do mniejszych trzęsień, jakie miały nawiedzić nasz kraj w tym roku, to, według prelegenta, szczeliny, jakie się rzeczywiście potworzyły w ziemi, z towarzyszeniem huku, wynikły raczéj w skutek bardzo silnych mrozów, pod wpływem których kurczyła się. Według prelegenta, równoległe ułożenie tych szczelin, w okolicach Koziebród, powinno by być bliżéj rozpoznane przez uczonych. Z historji trzęsień ziemi dowiedzieliśmy się opisu ważniejszych, mianowicie: w prowincji Quito 1793 r., w Kalabrji 1783 r., w Ameryce południowéj 1868 r., a oprócz tego słabsze trzęsienie ziemi, miało miejsce w Francji 1866 r. Po przejściu w skróceniu teorji trzęsień ziemi, prelegent zwrócił uwagę na to, że geologja, równie jak meteorologja, co do tłómaczenia faktów i zjawisk, niedaleko jeszcze zaszła. — W parę dni późniéj pan Izaak Kramsztyk *b.* nauczyciel szkół rządowych, mówił: „O kobietach w starożytnym judaizmie.” Prelegent położył sobie za zadanie wykazać mylność tych, którzy utrzymują, że stanowisko kobiety w starożytnym judaizmie było nizkie. Słuchacze więc połknąć musieli niepomierną dozę cytat różnych teologów i rabinów, wykazujących, według prelegenta, jak wysoko szanowane były prawa kobiety, tak dalece, że żadna uroczystość ważniejsza nie obyła się bez nich; następnie dowiedzieliśmy się nieco o starożytnych matronach pacząwszy od Sary aż do Rut, głośnych z czynów szlachetnych i bohaterskich, chociaż według prelegenta, i w starożytnym judaizmie, były niewiasty zbaczające z drogi prawéj, (dlaczego by nie?) jak np. Izabella, Atalja. W ogólności, prelekcja p. Kramsztyka była anegdotyczną, sądziliśmy, że prelegent ukaże nam rzeczywisty obraz starożytnéj izraelskiéj niewiasty, a tymczasem, nasłuchaliśmy się cytat i różnych anegdot, niekoniecznie i ciekawych.

— **Odczyt pana J. Chęcińskiego. G.** Dnia 10 Kwietnia r. b. miał miejsce w Salach Redutowych odczyt znanego poety i artysty Teatrów Warszawskich, p. Jana Chęcińskiego, pod tytułem: *Aktor*. Licznie zgromadzona publiczność ciekawą była usłyszeć wytrawne w tym przedmiocie zdanie doświadczonego męża. To też za ukazaniem się jego, rozległy się sympatyczne oklaski i nastąpiła głęboka chwila milczenia i ciszy. Prelegent podzieliwszy poezję na trzy rodzaje: na epikę, lirykę i dramat, wykazał znaczenie i doniosłość tego ostatniego, określając warunki w jakich się znajduje autor jako twórca i aktor jako wierny przedstawiciel myśli i uczuć autora. Następnie żywymi i barwnymi kolorami odmalował słuchaczom zadanie i postać *aktora*, jako prawdziwego reprezentanta sztuki dramatycznéj, wyliczając i rozbierająo niezbędne dla niego przymioty tak fizyczne jako też i umysłowe, jeśli chce być rze-

telnym artystą, w całém tego słowa znaczeniu, miłującym prawdę piękno i dobro. Do koniecznych, fizycznych przymiotów aktora zaliczył Prelegent: wzrost niezbyt mierny, kształtną postać, dźwięczny i wyrobiony organ mowy, naturalną deklamację i naturalne ruchy. Do umysłowych zaś: pamięć, ukształcenie, uczucie, zapał, energję i przejęcie się swą rolą. Kto tych warunków nie posiada, nie powinien nawet marzyć o aktorskiéj sławie, miłéj, drogiéj i nieocenionéj, a przecież krótkiéj niestety, bo kończącéj się najwięcéj już na drugiem pokoleniu słuchaczów. Oklask żywy, bezwiedny, grzmiący a machinalny, w chwili uniesienia widzów, to podobno największa, najrozkoszniejsza nagroda, wieniec i jedyny pomnik dla aktora. To też po skończonym odczycie głęboko przejęta, a może i wzruszona publiczność, temi głośnymi oznakami zadowolenia, aż dwa kroć podziękowała Szanownemu Artyście, za obdarzenie jéj słowami pełnemi wiary i namaszczenia z czarującéj ją codziennie dziedziny sztuki, z krainy Talji i Melpomeny.

— **Osobliwsze dziwo natury**—które wszakże wymaga porządnéj porcyi wiary, miało wydarzyć się w Aradzie (na Węgrzech). Długi cybuch (niewiadomo tylko z jakiego drzewa), który od roku już był w używaniu, wypuścił gałązki i okrył się znowu liściem! „Zdaje się to być niepodobnem do prawdy, powiada Gazeta Aradzka i my sami wstrząsalibyśmy głową z niedowierzaniem, gdybyśmy nie oglądali własnemi oczyma tego szczególnego cybucha. Rdzeni niema naturalnie w tym patyku ani odrobiny, bo zresztą musiała ją wyżreć nikotyna; a przecież żyje on i kwitnie. Przybywajcie botanicy i rozwiążcie tę zagadkę natury!” Tak woła wspomniona gazeta i jeżeli to nie jest figiel nieboszczyka Muchhausena, co mógłby nam wyjaśnić założony właśnie we Lwowie „Dziennik spirytystyczny”, jako mający blizkie koneksye z nieboszczykami, to chyba wypadałoby w tém upatrywać cudowny skutek autonomji zalitawskiéj, która dozwala się rozwijać wszystkim, nawet starym cybuchom.

—**Czego miłość nie dokaże**. Frére-Orban, dzisiejszy minister Belgijski, jest synem biednego odźwiernego, który się nazywał Frère. Obecny mąż stanu już skończył szkoły, i miał zdawać tak zwane rigorosum, gdy pokochał piękną i dobrą panienkę, córkę jednéj z najbogatszych rodzin w Brukselli i postanowił prosić rodziców o jéj rękę. Odmówiono mu jéj, ale kochanka rzekła:

— Dzisiaj masz zdawać egzamen, jeżeli go zdasz, o czem zresztą nie wątpię, przyjdź do teatru i każ sobie otworzyć lożę moich rodziców. Za miesiąc będę pańską żoną.

— A rodzice?

— Zaufaj mi pan i zrób co ci radzę.

Tego samego wieczora teatr był przepełniony widzami, kiedy pan Frère wszedł do loży swéj ukochanéj, która nie namyślając się i chwili, rzuciła się nowemu adwokatowi w objęcia.

W miesiąc potem p. Frère ożenił się z panną Orban, i przybrał nazwisko Frère-Orban.

— **Towarzystwo Przemysłowe**. Donoszą do naszéj Redakcji: Towarzystwo przemysłowe w Poznaniu, pod dobrem kierownictwem, już silnego nabrało rozwoju. Odczyty poniedziałkowe bywają wyborne, wielce pouczające i zastósowane nader właściwie. Towarzystwo młodych przemysłowców, także coraz więcéj nabiera życia i wróżymy mu rozwój wpływowy i zbawienny, a skutki doniosłości takiéj łatwo uzna każdy. W Niedziele bywają odczyty zajmujące i naukowe. Młodzież przemysłowa gromadzi się gorliwie, ale uczęszczają i inni. Pierwsze przedstawienie teatralne wyszło z jego łona, a dochód z niego przeznaczyli, jako pierwszy zadatek, dla przyszłego, stałego teatru polskiego w Poznaniu. Odbyło się ono d. 25 Listopada r. z. w tak zwanym *teatrze* letnim (niemieckim). Publiczność zebrała się licznie,— a przedstawienie zadowoliło wszystkich po nad oczekiwanie, po nad dobrą wolę uznania trudów diletantów i ich chęci. Zostali też obsypani oklaskami. Dali nam tego wieczora: „*Emancypantkę*” Władysława *Bełzy*, deklamację „*Tyrteusz*” Wł. A. *Anczyca* i komedję: „*Ulica nad Wisłą*” ś. p. *Wieniarskiego* ze śpiewami! A zakończył dziarski mazur, wykonany przez p. *Budkowskiego*, nauczyciela tańca.

— **Małżeństwo za pomocą pary.** Gdy niedawno pociąg marsylski zatrzymał się jak zwykle w małym dworcu w pobliżu Tarasconu, przystąpiło młodziutkie dziewczę w skromnym czepeczku czarnym do wagonów pierwszéj klasy, ażeby sprzedać świeże jagody, których w Paryżu nie było jeszcze o tym czasie. Piękność jéj była tak zachwycającą, że syn jednego z najbogatszych jubilerów paryzkich, który powracał z Genewy, zakochał się w niej szalenie.

— Zkąd jesteś nadobne dziecię? —zapytał ją z wielkiem wzruszeniem.

— Z Arles.

— Czy poszłabyś zamąż?

Dziewczyna uśmiechnęła się. Po téj milczącéj odpowiedzi wyskoczył młodzian z wagonu, kupił w dworcu drugi bilet do Paryża i powróciwszy do handlarki jagód, zawołał:

— Daj mi twoje jagody... Tak, a teraz siadaj, oto twój bilet.

— Ależ panie!...

— Spiesz się bo pociąg odchodzi, ożenię się z tobą w Paryżu.

Dziewczę wsiadło, a z Lugdanu wysłali już kochankowie następujące dwa telegramy. Nr. 1. Do owdowiałéj pani L: „Mamo idę za mąż... bogaty pan i brunet... papiery posłać do pana X .. ulica... w Paryżu....” Nr. 2. Panu.... w Paryżu: „Ojcze żenię się z arlesyanką. Przygotuj pokój i twoje przyzwolenie.” Nazajutrz stanęli w Paryżu, a we dwa dni potém byli już małżonkami. Taką jest potęga pary.

— **Czytelnicy i pisma**.—(*Kurjer Warszawski*). Brak żywiołu umysłowego, czuć się coraz więcéj daje między klassą biedną i niezamożną, jako téż między tymi, którzy powaleni na łoże boleści, w domach swych lub szpitalach, nie znajdują tam ułatwionych środków zwrócenia myśli swéj ku Bogu i światłości Ducha jego, zawartéj w księgach ludzi dobréj woli.

Czujemy więc wszyscy potrzebę bibliotek ludowych, oraz zaopatrzenie szpitali, więzień i aresztów w książki moralne, pouczające, zdolne, jak mówię, zwrócić myśl chorą lub zbłąkaną na zbawienną drogę życia.

Tłomaczymy się w tym względzie kosztownością tego zaopatrzenia; a tymczasem, nie mówiąc już o wielkiéj może ilości książek zbytecznych w większych lub mniejszych bibliotekach, w znacznéj może liczbie niszczonych przez niebaczne dzieci, nieznające ceny biblioteczki domowéj, z żalem również dostrzegamy, że nawet księgarze, antykwarjusze i drukarze (podobnie jak i inni kupcy), obwijają najlichszy nieraz towar w arkusze dzieł często bardzo zbawiennych, pouczających lub poszukiwanych przez klassę niezamożną, które jeżeli dla wyższéj klassy idącéj z postępem czasu, mogą być już niepokupne, znane i nieponętne, to dla ubogich w duchu i biednych, dla młodzieży niezamożnéj i dzieci ludu, mogłyby stać się nieocenionym nieraz pokarmem duchowym.

Wiemy z doświadczenia, że antykwarjusze, przekupnie lub dostarczyciele szmat i makulatury, kupują nieraz za bezcen (na funty lub pudy), znaczne częstokroć zbiory dzieł duchownych, administracyjnych lub naukowych, a później naturalnie ten szacowny nieraz materjał umysłowy niszczą na obwoluty, ładunki i t. p., albo dają przera-

biać na papier po papierniach. Gdyby więc ktoś wpływowy, a pragnący dobra klass uboższych, zawezwał pp. wydawców, drukarzy i antykwarjuszów: o zrobienie ofiary dla ogółu z takich dzieł auszusów dla nich bezcennych, lecz mających wielką wartość dla ludu pozbawionego światła, gdyby osoby zamożniejsze wyjednały u rządu zezwolenie na skupowanie po tanich cenach tego materjału naukowego i gromadzenie go w jedno miejsce dla uporządkowania i zamieniania w biblioteki ludowe, gdyby wreszcie zawiązało się stowarzyszenie dobroczynne, któreby skupowało i kwestowało takie antyki i auszusy, a po nagromadzeniu, wyjednało pozwolenie zakładania czytelni tanich lub bezpłatnych, oraz zaopatrzenia szpitali, więzień i aresztów, co za dobrodziejstwo spłynęłoby ztąd na całe społeczeństwo i jego umoralnienie.

Pomimo usiłowania o taniość wydawnictwa, drogiemi są u nas dotąd: a dla czego? — Dla tego zapewne, że klassy niezamożne, że massa ludu, nie mając łatwego przystępu do źródeł wiedzy, nie zachęca się do czytania, lęka się nieraz wygórowanéj ceny książek, lub nie wie o ich istnieniu i nie kupuje ich. Księgarze więc i wydawcy muszą liczyć wyłącznie prawie na klassę zamożniejszą i podnosić cenę dzieła na mniejszą ilość sprzedaży obliczoną: egzemplarze zaś nierozprzedane, albo trzymają bezużytecznie po składach, albo co gorzej, jak powiedziało się wyżéj, marnują na obwijanie w arkusze pojedyncze towaru klassie zamożniejszéj sprzedanego. Gdy tymczasem, luźne te arkusze lub auszusy, zebrane w całość i sprzedane po tańszych cenach do bibliotek ludowych, szpitalnych lub więziennych, wpłynęłyby na unormowanie ceny książek w ogóle, przyczyniając się zarazem do powiększenia dochodu i zasługi sprzedających.

— **Teatr polski w Poznaniu. M. D** „Nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło," powiada stare przysłowie. Świeży tego przykład mamy na założeniu stałego teatru polskiego w Poznaniu. Jak wiadomo dotąd, Poznań nie miał stałego teatru polskiego z wielu bardzo przyczyn miejscowych, których przy najlepszych chęciach tamtejszych mieszkańców, zwalczyć było niepodobna. Miasto to jedynie poprzestawać musiało na gościnnych wystąpieniach trupy Krakowskiéj, która co rok przyjeżdżała do Poznania na parę letnich miesięcy. Aż oto przed kilkoma miesiącami, w teatrze Krakowskim powstały nieporozumienia skutkiem nietaktownego postępowania p. Skorupki, Dyrektora krakowskiego teatru. To spowodowało, że wielu artystów opuściło scenę krakowską i dokompletowawszy swoje grono artystami z innych trup prowincjonalnych, za pozwoleniem rządu pruskiego i przy gorliwym współudziale tamtejszych obywateli, założyli w Poznaniu, *stały teatr polski* pod dyrekcją p. Nowakowskiego i Stengla. Tak więc, tym razem nietakt p. Skorupki, wyszedł dla ogółu na dobre, chociaż podobne postępowanie Dyrektora z artystami, jakiem się odznaczał p. Skorupka, zasługuje na zupełne potępienie. Teatr polski w Poznaniu cieszy się dobrem powodzeniem. Przedstawienia odbywają się dla licznie zebranéj publiczności. Znajduje się on obecnie w jednym gmachu z teatrem niemieckim, ale zawiązany Komitet z obywateli poznańskich zebrał za pomocą akcji stosowny fundusz z którego ma być wybudowany osobny gmach dla teatru polskiego. Budowa ma się rozpocząć z wiosną, a przy energji i pieniądzach w bardzo krótkim czasie, ukończoną zostanie. Poznań liczy przeszło 40,000 ludności, z któréj blisko $^3/_4$ jest polską, nie mówiąc o kontyngensie wiejskim, bardzo lubiącym teatr.

— **Obecny ruch listowy.** O obecnym rocznym ruchu listowym, w rozmaitych krajach, znajdujemy bardzo ciekawą wiadomość w sprawozdaniu austrjackiego centralnego Komitetu z wystawy Paryzkiéj w r. 1867. Ze źródła tego dowiadujemy się o ilości przesyłanych listów, a mianowicie:

Państwa Europejskie:	Listów
Anglja (1865)	720,467,007
Francja (1866)	331,496,496
Państwa Niemieckie (1865)	227,635,020
Austrja (1866)	123,023,878
Włochy (1865)	96,237,627
Hiszpanja (1863)	70,237,252
Szwajcarja (1866)	38,988,761
Belgja (1865)	33,700,524
Niderlandy (1865)	23,628,197
Rossja (1855)	16,750,000
Szwecja (1865)	10,812,913
Danja (bez księstw, 1861)	6,642,380
Norwegja (1863)	3,454,759
Turcja (1965)	2,300,000
Portugalja (1854)	2088,000
Grecja (1860)	723,708
Ruch roczny listowy w Europie	1,708,110,532
Państstwa zaeuropejskie:	
Stany Zjednoczone Ameryki północnéj (1865)	467,591,600
Indje Wschodnie angielskie (1859)	51,500,000
Kanada (1856)	12,000,000
Wiktorja (1865)	7,485,808
Australja południowa (1865)	1,139,750
Nowa Szkocja (1865)	1,725,000
Nowy Brunświk (1865)	1,570,000
Rzeczpospolita Argentyńska (1864)	1,167,611
New-Foundland (1865)	500,000
Gujana brytańska (1865)	235,050

Powyższe liczby mówią najwyraźniéj o ruchu i codziennych czynnościach urzędników pocztowych, nie mówiąc nic o innych posyłkach, pismach i książkach. Aby tak wielką ilość listów podług adressu wyprawić, których na jeden dzień w naszéj części ziemi od 4 do 5 miljonów wypada, ileż to trzeba czasu i pracy!

— **Bogactwo.** Trzy są środki—powiada Franklin—przez które do bogactwa przyjść mogą narody.

Pierwszym jest wojna, przez wojnę bogacili się Rzymianie, łupiąc podbite narody. Środek ten jest łupieztwem, a więc występnym.

Drugim środkiem jest handel, który częstokroć staje się oszustwem, zwłaszcza gdy handlujący prędko chce przyjść do dobrego mienia. Trzecim i jedynie uczciwym środkiem jest rolnictwo.

Kraj nasz jest wyłącznie prawie rolniczy—bogactwo a przynajmniéj zamożność ważnym powinna być celem zabiegów naszych. Nauka o rolnictwie powinna być przeto przedmiotem odrębnym w szkółkach naszych, a mianowicie wiejskich.

Dziwna rzecz, że uczymy się w szkółkach naszych wiejskich rozmaitych rzeczy, wprawdzie człowiekowi także bardzo potrzebnych, a nie uczymy się tego co nam jest niezbędnem. Mało bowiem gdzie uczą rolnictwa i tego wszystkiego, co z niem w ściśléj stoi styczności, chociaż ubóstwo i nędza coraz więcéj się mnożą, a temu jedynie zapobiedz można w kraju rolniczym, przez podniesienie rolnictwa, hodowania jarzyn w ogrodach, drzew owocowych w sadach, pielęgnowanie pszczół, drobiu, bydła i t. p.

Proście więc dzieci, waszych nauczycieli—by wam o ile możności opowiadali — o roli, łące, ogrodzie i by wam wyjaśniali—jak to trzeba pracować na roli, by ta stokrotny wydała plon i nagrodziła pracę rolnika. Czytajcie równie pilnie podawane wam w „Opiekunie" niektóre wiadomości —o zbożach i roli— a da Pan Bóg zdrowie—to wam będziemy ciągle aż do końca roku o tém daléj pisać.

Wydawca, Mieczyński Adam.—w Druk. J. Jaworskiego.—Дозволено Цензурою.—Redaktor: Oskar Stanisławski.